MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 33. WARSZAWA, 31 LIPCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

PIELENIE CHWASTÓW

(NA MARGINESIE KSIĄŻKI PROF. RYBARSKIEGO)

W OBECNYM chaosie pojęciowym, tak charakterystycznym dla epok przejściowych, niema chyba dziedziny, bardziej zachwaszczonej przez źle rozumiane teorje i niedość sprecyzowane pojęcia i definicje, nad dziedzinę ekonomji. Wystarczy spotkać w salonie czy tramwaju przeciętnie wykształconego Polaka t. zw. „dobrej woli", by wysłuchać takiego steku zagmatwanych poglądów na sprawy gospodarcze, że się włosy jeżą na głowie.

Nasz przeciętny Polak jest „apolityczny" i hołduje szeroko dziś rozpowszechnionemu poglądowi, że świat ma do wyboru tylko dwa ustroje gospodarcze: liberalny i komunistyczny. Nawiasem mówiąc, byłoby ciekawe śledzić, w jaki sposób dwie międzynarodówki: kapitalistyczna i bolszewicka, potrafiły, czy to biorąc na swój żołd poszczególnych ekonomistów, czy poprostu urokiem swej potęgi, narzucić ogółowi dylemat „kapitalizm czy komunizm", dla obu przeciwników ze względów propagandowych jednakowo wygodny.

— A więc, proszę pana, skoro mamy do wyboru tylko między kapitalizmem i bolszewizmem, a Dmowski wypowiedział się przeciw kapitalizmowi, to znaczy że...

— Że co?

— Jakiego ustroju gospodarczego właściwie chcecie?

— Oczywiście, ustroju narodowego.

Przeciętny Polak, z którym rozmawiamy, jest człowiekiem naprawdę wykształconym, skosztował swojego czasu trochę ekonomji na uniwersytecie i czytuje wydawnictwa ekonomiczne. Uśmiecha się pobłażliwie.

— Kiedy, proszę pana, czytałem ostatnio publikacje profesorów ekonomji — tu wymienia nazwiska — i wszyscy zgadzają się na to, że może istnieć tylko wolna wymiana lub gospodarka planowa.

— Zgoda.

— A ponieważ zwalczacie etatyzm, więc musicie być widocznie liberałami.

— Zwalczamy również liberalizm.

— To znaczy, że jesteście przeciwni własności? Więc któż ma bronić własności, jak nie ruch narodowy?

Ręce opadają.

W każdej dziedzinie wiedzy spotykamy pewnych ludzi, zajmujących się wyłącznie teorją, i innych, dostosowujących zawodowo zdobycze uczonych do potrzeb życia codziennego. W dziedzinie ekonomji jest takich ludzi więcej, niż w jakimkolwiek innym dziale nauki. Ale większość z nich staje się szybko oportunistami, gdyż pisząc o sprawach gospodarczych, narażeni są na wielkie pokusy, nie grożące np. uczonym w astronomji czy biologji. Nietylko trudno czasem odróżnić, czy mówi ekonomista praktyk czy teoretyk, mąż wiedzy czy tantjemy i wierszowego, ale nadzwyczajne spopularyzowanie nomenklatury ekonomicznej w gazetach i rozmowach potocznych doprowadziło do tego, że szereg wyrażeń interpretuje ogół różnie od uczonych. Tu leży główne źródło zagmatwania pojęć.

Ogólnie np. uważa się, że system wolnej wymiany, liberalizm, kapitalizm i ustrój oparty na prywatnej własności — to synonimy. Pogląd zasadniczo błędny.

System wolnej wymiany jest systemem abstrakcyjnym, w którym równowaga ustala się automatycznie na podstawie popytu i podaży. System ten jest abstrakcyjny, gdyż przy jego zastosowa-

niu praktycznem wchodzą natychmiast w grę względy nieekonomiczne, a więc polityczne, społeczne, psychologiczne, itp., które modyfikują, a czasem całkowicie znoszą tak zachwalany przez teorję automatyzm działania tego ustroju.

Liberalizm jest doktryną, obejmującą wszystkie dziedziny życia, nietylko dziedzinę gospodarczą — jest niejako „światopoglądem". W dziedzinie gospodarczej, stosując zasadę nieskrępowanej niczem wolności indywidualnej, prowadzi do ustroju, zwanego kapitalizmem.

Według prof. Rybarskiego („Przyszłość Gospodarcza Świata" str. 147) „kapitalizm, to znaczy ustrój, w którym dominujące znaczenie przypada przedsiębiorcy, stosującemu kapitał w produkcji, w którym od jej wyników i cen, wytwarzających się spotanicznie na rynku, zależy zysk przedsiębiorcy. Przeciwieństwem planowej gospodarki jest także gospodarka niekapitalistyczna, w której niema przewagi kapitału: rzemiosło, drobny handel, gospodarstwo chłopskie, różne formy spółdzielczości itd., o ile ceny produktów tych gospodarstw kształtują się na wolnym rynku".

Wreszcie, również według prof. Rybarskiego (*op. cit.* str. 163), „ustrój, oparty o prywatną własność może istnieć, może się utrzymać, chociaż nie będzie niczem skrępowanej konkurencji". Z tej definicji wynika, że nie wolno identyfikować kapitalizmu z każdym ustrojem, opartym o własność prywatną.

Czyli cztery różne pojęcia: system ekonomiczny abstrakcyjny, teoretyczny — światopogląd — wcielenie praktyczne tego światopoglądu w dziedzinie gospodarczej — i wreszcze podstawowa kategorja ekonomiczna, własność, mogąca obowiązywać w różnych ustrojach.

Zanalizujmy z kolei wyrażenia „kapitał" i „kapitalizm".

Według klasycznych podręczników ekonomji „kapitałem nazywamy środek służący do produkcji". A więc zarówno taczki ogrodnika jak i zakłady Forda.

Zasadnicze nieporozumienie, gdyż w naszej gwarze — gwarze laików — nazywamy kapitałem środek, służący nietylko do produkcji, a więc mówiąc popularnie „zarabiania", względnie zabezpieczenia sobie spokojnej starości, a dzieciom gładkiego startu w życie — ale środek, dający zarazem i władzę nad ludźmi, tak zwaną władzę polityczną. Oczywiście u Buszmenów daje już taką władzę posiadanie strzelby, podczas gdy w cywilizowanem społeczeństwie władza, wynikająca z posiadania paruset morgów ziemi lub fabryczki, zatrudniającej stu robotników, jest w praktyce równa zeru. Władza zaczyna się dopiero tam, gdzie od woli przedsiębiorcy zależy naprzykład los ogółu mieszkańców pewnej miejscowości, nie mających innych możliwości zarobkowania poza daną fabryką; tam, gdzie od kliki bankierów zależy nietylko los setek tysięcy, ale sumienie ministrów i prawodawców. Kapitał, w pojęciu laików, zaczyna się tam, gdzie się kończy wolna wymiana, a zaczyna lawinowo rosnąca potęga. Choć ten kapitał jest wytworem wolnej wymiany, stanowi jej skrajne wynaturzenie, a zarazem zaprzeczenie, gdyż już nawet nieboszczyk Marx uważał te formy kapitalistyczne nie za ostatnie ogniwo wolnej wymiany, ale za pierwszy etap do kolektywizmu.

To, co ekonomiści nazywają ustrojem liberalnym lub kapitalistycznym, dzielą laicy na chłopski rozum na dwie strefy: do pewnej granicy strefa wolnej wymiany, powyżej to, co nazywają kapitalizmem i co budzi liczne zastrzeżenia.

Przejdźmy do pojęcia „własność". Zdawałoby się, że przynajmniej to jedno słowo rozumiemy wszyscy w jednakowy sposób. Tymczasem stwierdziliśmy już, że można odróżnić własność, dającą władzę, i własność we właściwem tego słowa znaczeniu „prywatną".

Prof. Rybarski (*op. cit.* str. 147) rozróżnia kapitał, dominujący w produkcji, będący cechą chatakterystyczną kapitalizmu, któremu przeciwstawia gospodarkę niekapitalistyczną, mówiąc że „w wolnej gospodarce mogą mieć przewagę warstwy ludności niekapitalistycznej, łączące w sobie kapitał i pracę". Rozróżnienie bardzo cenne, gdyż w umyśle laika istnieją wyraźnie dwa rodzaje własności. Żeby dać przykład jaskrawy: latyfundjum, którego właściciel siedzi stale zagranicą, i nie zna niekiedy nawet nazw swoich folwarków, oraz gospodarstwo rolne małe lub średnie, z którego właściciel może tylko czerpać zyski, o ile w nie wkłada własną pracę. Te dwa rodzaje własności określa laik jako „zdrowe" i „niezdrowe" formy własności. Wchodzą tu już w grę pewne kryterja moralne, a tam, gdzie się one pojawią, kończy się właściwy kapitalizm, któremu jako ustrojowi pojęcia te są najzupełniej obce, choć z pojęciem własności dają się logicznie pogodzić. Tylko że ustrój, w którym własność prywatna istnieje, ale jest podporządkowana nadrzędnym wymaganiom moralności, interesu społecznego lub narodowego, nie może się już nazywać kapitalizmem.

Formy własności mogą być jeszcze w innej płaszczyźnie „zdrowe" lub „niezdrowe". Kapitalizm w okresie swej świetności przestrzegał bacznie, by własność nie była „anonimowa". Stąd płynęły takie objawy, jak przymus ustawowy, by akcje były imienne, a nie na okaziciela, oraz surowe przepisy, zakazujące spółkom akcyjnym nabywania własnych akcyj. Rozluźnienie tych przepisów doprowadziło do zupełnego zdegenerowania prawa własności w jego objawach wielkokapitalistycznych. Widzimy więc przedsiębiorstwa, które zamiast wypłacać dywidendę akcjonarjuszom wykupiły same większość lub całość swych akcyj. Rezultat — przedsiębiorstwo, od którego zależy los tysięcy ludzi, niema właściciela, a rządzą w niem ludzie, których interesy są często zupełnie rozbieżne z interesami przedsiębiorstwa, którem zarządzają. Drugi przykład: wszystkie wielkie „krachy" ostatnich lat zawdzięczamy przedsiębiorstwom „holdingowym", które dzięki systemowi akcyj uprzywilejowanych umożliwiają bezapelacyjne zarządzanie ogromnemi kompleksami interesów, nie wkładając w nie poprostu ani grosza kapitału. W ten sposób pojęcie własności, będące u podstaw jakiegoś ustroju, tak się wypacza, że nie można uważać ujemnych stron takiego systemu za wady, nieodzownie związane z wszelkim ustrojem, opartym na własności prywatnej.

Wreszcie w umyśle laika kojarzy się własność również z pojęciem interesów narodu i państwa. Polska jest klasycznym przykładem kraju, w którym wielki kapitał w lwiej części (dokładnej statystyki zainteresowani nie pozwolą nigdy sporzą-

dzić) znajduje się w rękach zdecydowanie wrogich naszej niepodległości. *Vox populi* nie zgadza się na określenie mianem „własności“ zarówno tych, przeważnie pozatem zdegenerowanych form posiadania, jak i stosunku chłopa do ojczystej roli.

Stąd wniosek: nie wystarczy w dyskusjach ekonomicznych używać wyrażenia „własność“, trzeba się uprzednio porozumieć, co się przez to rozumie, gdyż nie wszystkie formy własności mają tych samych obrońców. Jedno jest pewne: że najgorliwszych obrońców, *et pour cause*, mają te właśnie formy, które najmniej na obronę zasługują.

Jednym z najczęściej po ulicach i kawiarniach dyskutowanych problemów jest pytanie, co prowadzi taniej i skuteczniej do rozwinięcia pewnej gałęzi wytwórczości: gospodarka państwowa czy prywatna, mówiąc ekonomicznie, gospodarka planowa czy gospodarka wolna?

Na temat, co prowadzi w naszych specyficznych warunkach skuteczniej do celu, wolno nam dyskutować, natomiast jeśli mamy do wyboru między inicjatywą prywatną a państwową, i chodzi tylko o to, co będzie kosztować społeczeństwo taniej, wszelka dyskusja powinna być wzbroniona. Nie wiele zasad udało się dotychczas ekonomji jako nauce ustalić bez zarzutu, wśród tych niewielu dogmatów wysuwa się jednak na pierwszy plan zasada, że działalność gospodarcza jednostki kosztuje społeczeństwo znacznie taniej od interwencji ciała zbiorowego. Na ten temat dyskusja jest zamknięta. Nie znaczy to jednak, by w pewnych wypadkach nie było władzy wolno dla celów natury pozagospodarczej wkraczać w dziedziny gospodarcze. Należy sobie tylko zdawać jasno sprawę, że wszelkie odstępstwa od wolnej gospodarki opłaca się obniżeniem stopy życiowej ogółu, względnie zahamowaniem szybkości jej wzrostu. Perspektywa ta nie ma w sobie często nic przerażającego, trzeba tylko w każdym poszczególnym wypadku zbadać, czy za dany rezultat natury ideowej nie płaci się zbyt drogo w walorach gospodarczych. Bo wszelkie sprawy gospodarcze można sprowadzić do problemu opłacalności.

Oto przykład takich rozważań polityczno - gospodarczych: O ile nie będziemy pewnych rzeczy produkować w kraju, przegramy wojnę. Właściwie dla celów obrony narodowej powinniśmy wytwarzać u siebie masę towarów, które obecnie importujemy. Ale ochraniając sztucznie pewne gałęzie produkcji, czynimy wyłom w wolnej wymianie, czyli ubożymy się. Oczywiście ubogi kraj nie wygra wojny, choćby wytwarzał nawet u siebie wszystko, czego mu trzeba do prowadzenia wojny. Rzeczą rozsądnej polityki ekonomicznej jest wypośrodkować granicę, do której warto się ubożyć dla celów obrony kraju, żeby nie przeholować i nie zaszkodzić więcej, niż się pomogło.

Wspomniany już dylemat—komunizm czy kapitalizm — wyrósł na podstawie rozumowania ekonomistów liberalnych, głoszących, że wszelkie odstępstwo od ich zasad pociąga za sobą automatycznie dalsze odstępstwa, krąg odstępstw rozszerza się coraz bardziej, póki wolność gospodarcza nie zniknie całkowicie, względnie póki społeczeństwo, doprowadzone przez planowość do kompletnego zubożenia, nie wróci z powrotem do zupełnej swobody gospodarczej.

Prof. Rybarski (*op. cit.* str. 207) powiada: „Jeżeli... równocześnie mogą obok siebie istnieć państwa, z których jedne np. w całości przeprowadzają ideę planowego gospodarstwa, a inne stoją na gruncie wewnętrznej swobody gospodarczej i prywatnej własności, to czy nie można pójść jeszcze o krok dalej w tem rozumowaniu i powiedzieć: także i w granicach jednego gospodarstwa narodowego może się wytworzyć kombinacja gospodarki planowej i wolnej... Mówi się o tem, że np wielki przemysł, który dziś już jest skartelizowany, przejdzie pod planową gospodarkę, a średni i drobny przemysł, a zarazem i rolnictwo, utrzyma się jako forma wolnej gospodarki“. A potem prof. Rybarski dodaje: „Ale ta sprawa nie przedstawia się tak prosto. Niewątpliwie w danym momencie, w dobie przejściowej, istnieją obok siebie jedne i drugie pierwiastki, przymus kombinuje się z gospodarczą wolnością. Jednak nie łatwo wyobrazić sobie trwały kompromis między temi dwiema ideami. Oczywiście. że w życiu gospodarczem te idee nigdy nie występują w całej czystości; nie było jeszcze kraju pod każdym względem liberalnego, ani komunizmu bez śladu prywatnej własności. Ale w gospodarstwie narodowem musi, na dłuższą metę, mieć zdecydowaną przewagę jedna lub druga zasada. Ustrój gospodarczy państwa nie może być pod ciągłym znakiem zapytania, w ciągłej walce o swoje podstawy. Bez usunięcia niepewności nie złagodzi się przesilenia gospodarczego, zwyciężyć musi jedna lub druga zasada. A nawet jest w interesie gospodarstwa społecznego, by ta walka nie trwała zbyt długo, bo ciągłe zataczanie się od jednej ściany ku drugiej nie jest objawem powrotu do równowagi“.

Ostatni ustęp musi wywołać melancholijne refleksje. Dzieje ludzkości są niewątpliwie w każdej dziedzinie dążeniem do harmonji. której się jednak nigdy nie osiąga. A jeśli się ją nawet osiągnie, czyli, by wrócić do ekonomji, o ile się zrealizuje czysty liberalizm czy stuprocentową planowość, to widzimy w niedługim czasie rozkład danego ustroju, jak się to stało w naszych oczach z kapitalizmem zachodnio-europejskim i amerykańskim, i zaczyna się na nowo zataczanie od jednej ściany do drugiej, będące dowcipnym i prawdziwym obrazem odwiecznej rzeczywistości na naszej planecie. Niewątpliwie, należy dążyć do zdecydowanej przewagi jednego elementu nad drugim, powinno się mieć jasny pogląd na te sprawy i wyraźną tendencję w jednym lub drugim kierunku. Ale dążenie do czystości doktrynalnej nie powinno prowadzić do gwałcenia konieczności życiowych.

W dylemacie „gospodarka liberalna czy planowa“ nie należy również tracić z oka faktu, że żaden ustrój nie da się sztucznie zaszczepić na społeczeństwie do niego nie dojrzałem. Liberalizm gospodarczy opiera się na założeniu *„homo oeconomicus“*, jednostki dążącej prostą drogą do maksymalnego zysku. Wszelkie próby zaszczepienia liberalizmu np. w społeczeństwie Poleszuków, których ideałem jest nasycić głód, a następnie próżnować, muszą z natury rzeczy spalić na panewce, podobnie jak próby wprowadzenia komunizmu w społeczeństwie mocno indywidualistycznem natrafią na zdecydowany opór. Tendencja powinna się więc wyrażać w wychowywaniu społeczeństwa w kierunku wolności gospodarczej jednostek lub omnipotencji gospodarczej zbiorowości. Ta druga tendencja przeważała do tej pory w Polsce powo-

jennej. Niewątpliwie wybiła ostatnia godzina do nawrócenia na drogę przeciwną. Ale może się przytrafić, że w niektórych dziedzinach gospodarczych, a mam tu na myśli przedewszystkiem wielki kapitał, swoboda gospodarcza, bez uprzedniej zmiany ludzi i systemu, może kryć w sobie większe niebezpieczeństwo dla narodu, od przejściowej kombinacji gospodarki wolnej z planową.

W końcu magiczne słowo „samostarczalność", o którem się tyle mówi, i które każdy tłumaczy sobie na swój sposób. Jego przeciwnicy, nie zawsze w dobrej wierze, zinterpretowali je w tym kierunku, że mamy wszystko fabrykować w kraju sami, i zapytują irocznie, czem zastąpimy bawełnę i banany. Jest to stary sposób zwalczania idei przez doprowadzenie jej do absurdu. Hasło samostarczalności daje nam odpowiedź na pytanie, czy musimy czekać z założonemi rękoma, aż się cały świat opamięta, czy też mimo otaczającego nas chaosu możemy urządzić się jakoś w swych własnych granicach, nie oglądając się na innych. Prof. Rybarski (*op. cit.* str. 222) pisze: „Rzecz jasna, że losy gospodarstwa narodowego będą i nadal zależały od tego, co się będzie działo w całym świecie. Ale w dzisiejszym układzie międzynarodowych stosunków nie można niczego budować na tym piasku, trzeba we własnem gospodarstwie narodowem rozwinąć organy jego samodzielnego życia, w niem szukać zabezpieczenia od niepewności losów świata. I w tych warunkach nabiera większego znaczenia świadoma wola kształtowania przyszłości. Zagadnienie, jaki ustrój gospodarczy wybiorą sobie różne narody, zdecyduje o ich bycie". Oto właściwy sens pojęcia o samostarczalności, nie będącej niczem innem jak samostanowieniem narodów w dziedzinie gospodarczej. Nie jesteśmy temu winni, że świat chodzi na głowie, ale jesteśmy obowiązani tak się urządzić, by najmniej na tem ucierpieć. I to leży w naszej mocy.

Rozjaśnianie zaciemnionych pojęć i wieloznacznych wyrażeń jest robotą żmudną, i przypomina mocno pielenie na grządce, zarosłej chwastami. Bardzoby się u nas przydało. Wprawdzie pielących bolą przy tem krzyże, ale powoli między przerzedzonemi chwastami ukazuje się gleba zdrowego rozsądku. Jeszcze chwilę pielimy, i spostrzegamy naraz, że na grzędzie jest już coś zasiane, zeszło równo rzędami i zapowiada obfity plon. Tylko chwasty były winne, że tego nie widzieliśmy.

Zdaje się, że i w dziedzinie ekonomji, po wypieleniu chwastów, dojrzymy o wiele łatwiej, o co chodzi, i że właściwie większości dyskutujących chodzi o to samo. ADAM DOBOSZYŃSKI

PAŃSZCZYZNA

W ARTYKULE zatytułowanym „Głód na Huculszczyźnie" („Myśl Nar." nr. 27) wyraziłem przypuszczenie, że we wschodnich Karpatach „stabilizacja biedy na dłuższy okres może stanowić bardzo poważne źródło politycznych zamieszek". Przewidywania, zawarte w artykule, spełniły się zaledwie w kilka dni po wydrukowaniu tych słów w formie rozruchów chłopskich w powiecie liskim, leżącym na pograniczu między Bojkami a Łemkami. Wypadki te są tak charakterystyczne, że warto im poświęcić kilka słów. Oświetlają one bowiem jak błyskawica naszą pozycję na kresach.

Rozruchy chłopskie w powiecie liskim wybuchły i rozwinęły się wedle informacyj prasy codziennej na tle obawy chłopów przed wprowadzeniem pańszczyzny. Asumpt do takich obaw dały zabiegi władz administracji politycznej oraz administracji lasów państwowych o urządzenie „święta pracy". „Święto" to miało się odbyć przy naprawie dróg miejscowych, gdyż rozporządzalne fundusze drogowe nie wystarczają na utrzymanie dróg w dobrym stanie. Idea „święta" nie przemówiła chłopom do przekonania; co więcej, przeciwstawili się oni wszelkim w tym kierunku poczynaniom czynnie. Rozruchy chłopskie, wyszedłszy ze wsi Brzegi koło Ustrzyk Dolnych, rozszerzyły się wnet na poważną część powiatu, tak że musiała je likwidować policja i oddziały wojskowe. Naskutek zajść znalazło się w śledczem więzieniu około 200 włościan, nietylko Rusinów, ale też Polaków.

Śledztwo i rozprawa sądowa wykażą oczywiście, kto i w jaki sposób zawinił w całej tej dość niewyraźnej sprawie. Jedno w każdym razie jest pewne już dziś, to wzrost wpływów ukraińskich w powiecie liskim i najbliżej niego leżących innych powiatach. A powiaty te były stosunkowo dość oporne na ukraińską agitację. Zachowanie się w tej sprawie politycznych czynników ukraińskich jest dość dwuznaczne. Faktem jest, że prasa ukraińska nie bardzo przeciwstawiła się wypadkom liskim; zaatakowana zaś przez prasę polską, tłumaczyła się tem, że wszelką jej reakcję paraliżuje cenzura. Wypadki zaś liskie posłowie Unda, wydelegowani na miejsce, tłumaczą ciemnotą tamtejszego ludu, nędzą, spowodowaną kryzysem, agitacją komunistyczną, no i „uciskiem polskim". Tłumaczenia „undowców" byłyby może przekonywujące, gdyby nie fakt, że pańszczyźniana demagogja ma w naszych kresowych warunkach bardzo specjalne znaczenie. Jest to bardzo ostra broń polityczna w rękach separatystycznego obozu ukraińskiego, umiejętnie na kresach używana w chwilach wyjątkowej wagi. Agitacja „pańszczyźniana" roznamiętnia ruskich chłopów do tego stanu, że gotowi są na wszystko, paraliżując przy tem w zupełności na krótki czas patrjotyzm chłopa polskiego.

Nie są to żadne z mej strony teoretyczne dedukcje. Do tezy tej doszedłem na drodze bardzo doświadczalnej, mając możność obserwować działanie agitacji pańszczyźnianej w r. 1918, w związku z tak zwaną inwazją ukraińską w Małopolsce Wschodniej. Do rodzinnego powiatu trembowelskiego wróciłem z wojny na kilka tygodni przed początkiem t. zw. zachodnio ukraińskiej republiki. Jako były legjonista I brygady zacząłem z kilkoma kolegami tworzyć w powiecie poufną organizację P. O. W. Robota szła bardzo niesporo. Polska młodzież bowiem była jeszcze w całości na froncie austrjackim, podczas gdy Ukraińcy, zwłaszcza oficerowie, masami siedzieli w kraju i przygotowywali wypadki. Mieliśmy do dyspozycji tylko bardzo już ciężkich inwalidów Polaków. Nawet ta garstka przemyśliwała jednak poważnie nad przeciwstawie-

niem się Ukraińcom. Nieoczekiwanie jednak natrafiliśmy na wahanie i dezorjentację u naszych polskich chłopów. Dezorjentacji tej dokonała właśnie agitacja ukraińska na tle pańszczyzny. Chłopi polscy uwierzyli agitatorom, że państwo polskie zaprowadzi pańszczyznę. Po kilku tygodniach ukraińskich rządów, opartych na najokropniejszym terrorze, prysła ta narzucona wiara w pańszczyznę. Agitacja swoje jednak zrobiła. Obezwładniła ona na krótki okres patrjotyzm polskiego chłopa, tworząc przytem jedno z najważniejszych imponderabiljów, które wpychały chłopu ruskiemu karabin w ręce i pchały go przeciw polskim wojskom. Chłop ruski wierzył o wiele dłużej pańszczyźnianej agitacji, aniżeli polski. A przecież działo się to wszystko na Podolu, stosunkowo zamożnem i o wiele bardziej oświeconem, aniżeli powiat liski. Nie było wtedy jeszcze ani agitacji komunistycznej, ani też „ucisku" polskiego; przygotowywano natomiast wojnę z Polakami. Ukraińcy i popierające ich sztaby austrjacki i niemiecki rzuciły tedy na szalę wypadków, miast nieistniejącego ukraińskiego uczucia narodowego, stare namiętności społeczne.

Wyżej opisane doświadczenie z agitacją pańszczyźnianą nauczyło mnie oceniać znaczenie tej agitacji. Jeśli agitacja ta zjawia się, to zawsze można się obawiać, że bojowe sfery ukraińskie szykują jakąś grubą awanturę. Jak było tym razem, nie wiemy. Prawdopodobnie też nie wszystkiego się nawet i w śledztwie sądowem dowiemy. Nie jest, zdaje mi się, przypadkiem, że awantury wybuchły w powiecie liskim. Leży on przecie między dwiema drogami komunikacyjnemi, łączące mi Polskę z Rusią zakarpacką t. j. drogą łupkowską i użocką. Powtarzam jeszcze raz, co pisałem w artykule o Huculszczyźnie, że „do zrobienia wielkiego mętu w takich warunkach wystarczy np. aby na rozagitowane na tle biedy terytorjum wschodnio-karpackie wdarła się grupa bojowców ukraińskich z Rusi Zakarpackiej. A przecie oddziały takie mogą być każdej chwili uformowane np. przez uniwersytet ukraiński w Pradze i akademję rolniczą w Podjebradach, utrzymywane dotychczas przez rząd czechosłowacki". Trzeba sobie pozatem uświadomić, że głód i nędza opanowały także i Ruś Zakarpacką, w większej może jeszcze mierze, aniżeli polską część Karpat. Warunki zatem do werbunku band bojowych są zupełnie wymarzone. Bandy takie mają tu starą, otoczoną romantycznym czarem poezji aureolę. Sytuacja zatem jest więcej niż poważna. Wymaga ona zupełnie radykalnego załatwienia. Bezpieczeństwo w Karpatach musi być za wszelką cenę zagwarantowane. Dopiero wtedy bowiem może się powieść akcja pomocy ekonomicznej, o której pisałem w n-rze 27 „Myśli Nar.". Najlepszym zaś sposobem zagwarantowania bezpieczeństwa w Karpatach Wschodnich byłoby, zdaniem mojem, zainstalowanie na linji granicznej Łupków—Śniatyń na dłuższy okres czasu Korpusu Ochrony Pogranicza, który zapewnił bezpieczeństwo od strony Sowietów.

Na zakończenie jeszcze jedna sprawa, wiążąca się z „pańszczyzną". Myślę, że będzie bardzo dobrze, jeśli ten biologiczny wprost wstręt chłopa ruskiego do wszelkiego poddaństwa i wszelkiej daremszczyzny w opinji polskiej dokładnie się uświadomi. Chłop ruski, mający sporo stepowej krwi w sobie, kocha namiętnie wolność. Przecież dlatego tylko, że ceni swą wolność do przesady, daje się tak łatwo nabierać agitacji pańszczyźnianej. I tę miłość wolności, tak zresztą podobną do polskiej, tę ambicję i dumę osobistą musi nasze życie uszanować. Żywiołową tę właściwość, która jak potok górski może łamać i niszczyć, możemy wyzyskać także do wielkich prac. Czyż nie to umiłowanie wolności osobistej polszczyło kiedyś ruską szlachtę i arystokrację? Piszę zaś wszystko dlatego, iż w ostatnich czasach zbyt wielu ludzi w Polsce zaczyna ulegać urokowi rosyjskiego komunizmu z jego planową gospodarką czy nawet bułgarsko-niemieckim pomysłom święta pracy i bataljonów roboczych. Nie wydają mi się te wszystkie pomysły dla naszych warunków odpowiednie. Poprostu nie są one robione na miarę duszy polskiej ani ruskiej. Może tedy wypadki liskie będą i w tej dziedzinie przestrogą.

KAROL STOJANOWSKI

KONFERENCJA IMPERJALNA W OTTAWIE

W DNIU 21 LIPCA rozpoczęła się, jak wiadomo, w Ottawie imperjalna Konferencja ekonomiczna. W przeciwieństwie do wszystkich poprzednich Konferencyj imperjalnych — posiada ona charakter czysto gospodarczy, jakkolwiek niepozbawiona jest również, z uwagi na rozległość celów i integralność programu, dużego znaczenia politycznego. Aby zrozumieć wszakże jej genezę, należy cofnąć się parę lat wstecz i dokonać krótkiej rekapitulacji historycznej z dziedziny międzynarodowej polityki handlowej.

Punktem wyjścia będzie tutaj niewątpliwie rok 1929 i słynne uchwały X Zgromadzenia Ligi Narodów w sprawie t. zw. „rozejmu celnego". Koncepcja ta, dyskutowana następnie szeroko na wielkiej Konferencji międzynarodowej w lutym — marcu 1930 r. w Genewie, polegała na tem, że narazie poszczególne państwa miały się zobowiązać do niepodwyższania ceł i nieutrudniania wymiany towarowej, i że następnie okres trwania tego „rozejmu", jako okresu pośredniego między „wojną" a „pokojem", miał być poświęcony zbiorowym rokowaniom o progresywną obniżkę ochrony celnej i o realizację pełnego liberalizmu we wszystkich dziedzinach międzynarodowych stosunków gospodarczych. Otóż to, co nas najbardziej tu interesuje, tkwi w tem właśnie, że koncepcja „rozejmu celnego", a w konsekwencji i koncepcja Międzynarodowej Konwencji Handlowej z 24 marca 1930 r. była ideą angielską. W rzeczywistości historyczny wniosek w powyższej kwestji postawił kierownik *„Board of Trade"*, zmarły niedawno sir William Graham.

Los Międzynarodowej Konwencji Handlowej jest znany. W okresie między jej podpisaniem a przewidzianym terminem ratyfikacji protekcjonizm celny w Europie, a także i poza Europą, nie tylko nie zmniejszył się, ale przeciwnie doszedł do nieznanego dotychczas napięcia. Okazało się, że wypracowane w zakłamanej gruntownie atmosferze Ligi Narodów trójhasło liberalizmu: wolności obrotu towarów, kapitałów i ludzi było czemś całkowicie idącem „pod prąd". To też, kiedy w marcu 1931

obradowano w Genewie nad tem, co począć z konwencją, pierwsza Anglja wypowiedziała się za jej „śmiercią“, pomimo, że, jak wspomniano, odegrała główną rolę przy jej „narodzinach“.

Upadek Konwencji spowodował znaczne przesunięcia w polityce gospodarczej Ligi Narodów. Przewekslowana została ona na tory ściśle europejskie i poddana linji politycznej briandowskiej Komisji Studjów Unji Europejskiej. Rolę kierowniczą objęła Francja. Anglja pozostała tym razem raczej na uboczu, rozpoczynając, na marginesie niejako zorganizowanej akcji ogólnej, indywidualne negocjacje handlowe z szeregiem państw kontynentalnych, m. in. i z Polską. Tempo tych rokowań, w których Anglja domagała się ustępstw celnych wzamian za utrzymanie swego wolnohandlowego *regime*'u wskazywało jednakże na wahające się stanowisko polityki brytyjskiej w tym okresie czasu.

Komisja Studjów Unji Europejskiej nie spełniła nadziei, jakie się z jej działalnością wiązały, i, objektywnie biorąc, nie mogła ich spełnić. Szeroka fala coraz to potężniejszego kryzysu zalała świat, a równolegle z nią poszło dalsze wzmożenie ochrony celnej i nieprawdopodobny rozwój systemu zakazów przywozu oraz kontygentowanie, przypominające czasy bezpośrednio po wojnie światowej. W wyniku tych dwuch procesów, automatyzmu gospodarczego i gospodarczej polityki, obroty towarowe uległy katastrofalnej redukcji, zwiększającej się z miesiąca na miesiąc. Co do obrotu kapitałów — zanik zaufania zahamował go już uprzednio, tak samo jak restrykcje imigracyjne zahamowały swobodny obrót ludzi. Rzecz prosta, Wielka Brytanja, jako wielkie mocarstwo handlowe — uderzona została bardzo silnie: załamanie się funta na jesieni ub. r. i $2^1/_2$ miljonowa rzesza bezrobotnych świadczą o tem najwymowniej.

Tego rodzaju sytuacja Anglji domagała się oczywiście przeciwdziałania. Ponieważ jednakże dotychczasowe metody uznane zostały przez szeroką opinję za bezskuteczne — trzeba się było zwrócić ku środkom nowym, których atrakcyjność na tem m. in. polegała, iż były właśnie nowe. Tutaj tkwi też tajemnica powodzenia protekcjonistecznego programu konserwatystów. Ich zwycięstwo wyborcze stanowi punkt wyjścia dla nowej polityki handlowej Wielkiej Brytanji.

Nie tu jest miejsce na przedstawienie dotychczasowego przebiegu protekcjonizmu angielskiego. Ograniczymy się więc tylko do wzmianki, że zabezpieczywszy się odrazu na jesieni cłami tymczasowemi przed spekulacyjnym importem, rząd brytyjski wprowadził z dn. 1 marca 1932 r. normalną taryfę celną. Odnośna ustawa „*Import Duties Act*“ przewiduje cło generalne 10% na wszystkie towary, z wyjątkiem towarów, umieszczonych na specjalnej liście wolnej od cła, oraz towarów, opłacających cło na zasadzie innych ustaw, jak również cło dodatkowe, jakie ustalać będzie w stosunku do wybranych przez siebie towarów specjalna Komisja, t. zw. „*Import Duties Advisory Committee*“. Ponadto ustawa postanowiła, co nas szczególnie interesuje, uwolnić na stałe od jakichkolwiek ceł Kolonje brytyjskie, tymczasowo zaś, z terminem do 15 listopada b. r. — Dominja. Związek tego postanowienia z Konferencją w Ottawie jest oczywisty.

Tak więc doszliśmy wreszcie do ustalenia genezy omawianej Konferencji. Przyczyną pośrednią będzie tutaj pesymistyczna ocena przez Anglję dalszego rozwoju stosunków wymiennych brytyjsko-obcych, uzasadniona wzrastającemi utrudnieniami przywozu do innych krajów i spadkiem eksportu angielskiego, którego rola natomiast, z uwagi na zagrożone finanse państwa, znacznie z konieczności wzrosła. W związku z tem, uznać należy z perspektywy chwili obecnej inicjatywę Anglji w 1929 r. za ostatnią na wielką skalę próbę utrzymania swego stuletniego *regime*'u wolnohandlowego. Próba się nieudała, więc też Anglja przerzuciła się po pewnym okresie wahania na protekcjonizm. Chęć skoordynowania nowej polityki handlowej Anglji z polityką handlową poszczególnych Dominjów stanowi z kolei przyczynę bezpośrednią konferencji.

Obecnie zastanowić się wypada nad kwestją, jakie jest konkretne zadanie Konferencji. Wielka debata parlamentarna w Anglji z miesiąca czerwca daje w tym względzie szczegółową odpowiedź. Celem Konferencji jest zastosowanie w ramach Imperjum starego hasła liberalizmu: wolności towarów, kapitałów i ludzi, ze szczególnem podkreśleniem zagadnienia intensyfikacji wzajemnych obrotów towarowych („*more trade and freer trade*“). Obliczono, iż w ciągu ostatnich dziesięciu lat Anglja oraz Dominja zakupywały na obcych rynkach towarów, produkowanych zasadniczo w Imperjum, za sumę około 400.000.000 £ rocznie. Wynika z tego, iż sprawa przewekslowania części chociażby handlu imperjalno-obcego na tory wewnętrzno-imperjalne przedstawia naprawdę problem olbrzymiej doniosłości gospodarczej, którego pozytywne rozwiązanie mogłoby, łącznie z unormowaniem zagadnień finansowych oraz imigracyjnych (podniesienie tej ostatniej kwestji na gruncie angielskim jest bardzo charakterystyczne), stanowić realną podstawę odrodzenia ekonomicznego Imperjum. Instrumentem urzeczywistniającym ten szeroki plan — ma być przedewszystkiem konsekwentna rozbudowa systemu preferencyj celnych, zapewniających specjalne uprzywilejowanie wzajemne w zakresie przywozu.

Z programem wskazanym powyżej wiążą się aktualnie w Anglji naprawdę wielkie nadzieje. To samo da się powiedzieć i o Dominjach, zwłaszcza — niektórych z nich. Tak silne nastawienie pozytywne stanowi już samo przez się czynnik dodatni. Temniemniej, pomimo rzeczywistej harmonji politycznej (kłopotliwy wyjątek stanowi zatarg angielsko-irlandzki), umożliwiającej pewne decyzje w innych warunkach bezwzględnie nierealne, jakiś optymizm byłby tutaj grubym błędem. Jasną rzeczą jest bowiem, że przed Konferencją w Ottawie i jej programem stoją bardzo poważne trudności. Są one dwojakiej natury.

Przedewszystkiem wysuwa się kwestja współzależności z rynkami obcemi. Naiwnością byłoby sądzić, że przestawienie handlu na wielką skalę jest rzeczą prostą i bezbolesną. Ponieważ zasadniczo eksport opiera się na imporcie — kraje brytyjskie muszą się liczyć z reakcją zainteresowanych państw. Wynika stąd charakterystyczny moment ryzyka, wskazujący równocześnie, iż proces powyższy w żadnym razie nie mógłby się odbyć odrazu w stosunku do wszystkich głównych artykułów handlu. Pozatem w pewnych wypadkach rynek obcy stanowi jedyny rynek zakupu względnie zbytu, co również należy wziąć pod uwagę. Wreszcie nie ulega wątpliwości, iż w olbrzymim imporcie angielskim surowców przemysłowych W. Brytanja nie będzie chciała pójść na żadne ustępstwa wobec Dominjów, ponieważ najtańszy surowiec jest istotnym warunkiem ekspansji przemysłowej.

W związku z powyższem, bardzo ważną rzeczą wydaje się także stopień współzależności. W tym względzie niezwykle ciekawe światło rzuca statystyka, ogłoszona przez *„Association of British Chambers of Commerce“*. Wynika z niej co następuje:

Udział Dominjów i Indyj w handlu zagranicznym Wielkiej Brytanji.

Import		*Eksport*	
Australja	5,30 proc.	Indje	8.30 proc.
Nowa Zelandja .	4,37 „	Irlandja	7,80 „
Indje	4,26 „	Połudn. Afryka .	5,61 „
Irlandja	4,25 „	Kanada	5,30 „
Kanada	3,81 „	Australja	3,74 „
Połudn. Afryka .	1,52 „	Nowa Zelandja .	2,88 „
razem . .	23,51 proc.	razem . .	33,63 proc.

Udział Wielkiej Brytanji w handlu zagranicznym Dominjów i Indyj.

Import		*Eksport*	
Irlandja	80,80 proc.	Irlandja	96,30 proc.
Nowa Zelandja .	49,17 „	Nowa Zelandja .	39,00 „
Połudn. Afryka .	43,20 „	Połudn. Afryka .	52,70 „
Australja	39,20 „	Australja	44,60 „
Indje	34,16 „	Kanada	28,50 „
Kanada	17,40 „	Indje	27,24 „

Podana tabelka wykazuje cyfry, które wprawdzie należałoby nieco podwyższyć z uwagi na to, że nie dotyczą one z jednej strony handlu Anglji z jej własnemi Kolonjami, z drugiej strony handlu między Dominjami, ale tem nie mniej, z racji małego znaczenia tych poprawek, stanowią doskonały punkt wyjścia dla oceny sytuacji. Widać przedewszystkiem jasno olbrzymią zależność od rynków obcych Wielkiej Brytanji. Pozatem analiza tych cyfr orjentuje nas dobrze zarówno co do stopnia zainteresowania poszczególnych krajów brytyjskich ewentualnem porozumieniem preferencyjnem, jak co do wartości, jaką to czy inne Dominjum reprezentuje dla Wielkiej Brytanji jako partnera przy konferencyjnym stole.

Omówione trudności nie wyczerpują jednakże kwestji. Istnieje bowiem szereg dalszych zagadnień, dających się sprowadzić do zagadnienia wzajemnej konkurencji między przemysłem angielskim i dominjalnym oraz angielskiem i dominialnem rolnictwem.

Punktem wyjścia dla Anglji jest niewątpliwie problem zbytu jej artykułów przemysłowych. Stąd koncesje na rzecz przemysłu będą stanowić główny przedmiot ataku delegatów angielskich. Z drugiej strony, przemysły poszczególnych Dominjów, z których niejedne rozwój swój i egzystencję zawdzięczają całkowicie wysokiej ochronie celnej, będą z natury rzeczy bronić się przed ekspansją towarów angielskich, dążąc do sprowadzenia wszystkich ewentualnych ustępstw na grunt uprzywilejowania produkcji angielskiej w stosunku do produkcji obcej bez obniżenia ochrony celnej, co oczywiście pociągnąćby za sobą musiało konieczność podwyżki ceł dotychczasowych. Dobrym przykładem konkurujących przemysłów będzie choćby przykład kanadyjskiego i angielskiego przemysłu bawełnianego.

O ile w dziedzinie przemysłowej stroną atakującą jest rząd brytyjski, a stanowisko przemysłów dominjalnych defensywne, o tyle w dziedzinie rolniczej sytuacja jest odwrotna: stroną atakującą są rządy Dominjów, stroną, która się broni, — angielskie rolnictwo. Wbrew pozorom wszakże, sytuacja jego jest naogół dość silna. Przedewszystkiem pod względem wartości produkcji idzie ono na czele przed wszystkimi Dominjami, wykazując cyfrę 300.000.000£ rocznie (dane za kilka lat przed kryzysem). Wyprzedzają je oczywiście Indje. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że całkowity import rolniczo-handlowy Anglji wyniósł w 1931 roku około 400.000.000 £ — zobaczymy, jak znaczną część zapotrzebowania rynku pokrywa rolnictwo krajowe. Drugim z kolei elementem jego siły jest stanowisko konsumenta angielskiego, które wprawdzie osłabia postulaty rolnictwa, w pewnych jednak wypadkach nadmiernego apetytu na korzyści perferencyjne ze strony Dominjów, znakomicie może wzmocnić pozycję rolnictwa wobec rządu.

Brak miejsca nie pozwala na szczegółową analizę strony rolniczej problemu preferencyj imperjalnych. Badając rzecz ogólnikowo choćby — jasnem się staje jednakże, że w dziedzinie przywozu rolniczych surowców przemysłowych, zarówno roślinnych (np. bawełna) jak i zwierzęcych (np. surowe skóry) udzielenie jakichkolwiek preferencyj istotniejszych jest raczej zupełnie nieprawdobodobne, z wiadomych względów. Natomiast preferencje te są możliwe i realne w tych gałęziach przywozu, w których import z Dominjów jest przeważający, bądź w których z łatwością może stać się przeważający, jak również w tych gałęziach, gdzie jest tylko importem, uzupełniającym podaż produkcji krajowej. Preferencja polegać może oczywiście albo na niższem cle, albo też na wolności celnej. Wolność celna aktualną wydaje się być w tych wypadkach, w których wytwórczość krajowa danego artykułu jest nieznaczna (np. w zakresie pszenicy). W pozostałych wypadkach naturalnem rozwiązaniem sprawy jest udzielenie preferencji w formie niższego cła. Są atoli i dalsze możliwości. Istnieją mianowicie, biorąc rzecz konkretnie, dwie potężne gałęzie importu, a mianowicie bekonów oraz chłodzonej wołowiny, w których rolę decydującą odgrywają obce rynki zakupu (Danja, Argentyna) i w których zakresie niema absolutnie mowy o jakiejkolwiek samowystarczalności Imperjum w ciągu najbliższych lat. Los ewentualnych preferencyj wydaje się tutaj dość wątpliwy: głos konsumenta angielskiego ma największe pole do popisu. W każdym razie preferencja polegać mogłaby najwyżej na wolności celnej, przy niskiem bardzo cle na rzecz produkcji krajowej przeciw importowi z krajów obcych.

W chwili obecnej trudno jest oczywiście przesądzać, jakie będą wyniki Konferencji w Ottawie, jacy kontrahenci z pomiędzy rodziny brytyjskiej zdecydują się na porozumienie i w jakich dziedzinach wymiany. Podobnie nie sposób powiedzieć czegoś bardziej stanowczego o innych punktach programu. Temwięcej przypuszczać można z dużem uzasadnieniem, zarówno z uwagi na praktyczność myśli anglosaskiej, jak i na zasadniczą polityczną harmonję uczestników, czego nie przekreśli odosobniony wypadek z Irlandją, jak również z uwagi na presję ogólnego kryzysu, który domaga się nowych środków polityki gospodarczej, iż poza uzgodnieniem w sprawach „banalnych“ (taka kategorja egzystuje w programie każdej wielkiej konferencji tego typu) i drobniejszych sprawach technicznej natury — pewne realne wyniki, małe wprawdzie i nie mające istotniejszego znaczenia, Konferencja w Ottawie będzie mogła zapisać w swoim bilansie.

ANDRZEJ DROHOMIRECKI

TYP POLSKIEGO REWOLUCJONISTY W „OZIMINIE” BERENTA

Na takiej duszy gorzej w końcu
swoi wyjdą, niż wrodzy.

TAJEMNICA małej popularności Berenta jest bodaj ta sama, co u Norwida. Oto pisarzy tych łączy szczególnie jedna cecha, dominująca u obydwóch: zgoła wyjątkowy, zwłaszcza w Polsce, stosunek zupełnej świadomości względem własnej twórczości. Pisze o tem nadzwyczaj zajmująco Berent sam w wybornych komentarzach do urywków z Nietzschego („Chimera“, VI, 225—9).

Ta osobliwa cecha twórczości tych dwu pisarzy decyduje z bezwzględną koniecznością o ich stylu pisarskim, którym jest oczywiście barok.

Tempo wolne w myśli i wysłowieniu, zdawanie sobie sprawy z najdalszych konsekwencyj swej twórczości przy doskonałem poczuciu odpowiedzialności pisarskiej, czujna sumienność i rzetelność artystyczna, nader staranne podmalowywanie tła, będące nieraz celem samo w sobie, świadomość efektów ekspresji artystycznej: cyzelatorstwo i akcentacja poszczególnych wyrazów i zwrotów, bez których uchwycenia rzecz się w dalszym ciągu staje niezrozumiała (stąd przy obu tych pisarzach do ogromnego wprost znaczenia urasta sztuka umiejętnego czytania), lubowanie się w odcieniach, celowe niedomówienia,—a z tem wszystkiem żywe poczucie architektoniki utworu i zwarta jego konstrukcja — oto cechy, przedziwnie łączące Norwida i Berenta, o czem miałem już swego czasu sposobność pisać w szkicu o berentowych „Żywych Kamieniach“.

Z czterech powieści, które wyszły z pod pióra Berenta, zupełnym wyrazem jego psyche są „Ozimina“ i „Żywe Kamienie“. Jeśli pozaczasową wartość tych ostatnich, ze względu na odtworzoną w nich dobę historyczną, uznano powszechnie, to „Oziminę“, może zbyt pochopnie, zakwalifikowano jako utwór aktualny wyłącznie dla pewnego momentu dziejowego (1904—1914) i ściśle określonego środowiska jedynie.

Sąd taki wydaje mi się błędny.

Oto i pod tym względem nasuwa się tu analogja z „Weselem“ (którą stwierdzałem jeszcze w r. 1911 w „Tygodniku Wileńskim“). Jak tam tego utworu żywotność dziś bynajmniej nie przebrzmiała, tak i „Oziminy“ niepodobna oceniać jako okolicznościowy pamflet, przedewszystkiem zresztą ze względu na skalę talentu autora. Ale i poza tem zawiera on mnóstwo wartości nieprzemijających, z których jedną postaram się tu ukazać uwadze czytelnika.

Chodzi mi o typ polskiego rewolucjonisty, odtworzony przez Berenta z wyjątkowem pogłębieniem psychologji, czego trafność dziś, po iluś tam latach państwowości polskiej, rozumiemy znacznie lepiej, niż onego czasu, gdy się powieść ukazała dopiero.

Rewolucjonista polski jest tu typowy w całej swej okazałości. Jest nim Komierowski, potomek starej rodziny szlacheckiej, brat wspaniałej piękności Heleny baronowej Nieman. Zwracamy nań uwagę w pełni zabawy u baronostwa. Oto uderza nas „ktoś o wyglądzie zakrystjańskim wobec frakowych panów — jegomość w tużurkowym stroju o szerokim, szpakowatym zaroście wokół kościstej twarzy“.

Rychło zabiera on głos w dialogu, mającym na celu uwydatnienie kontrastu pomiędzy Zachodem a Polską. Tam — bucha „potęga widowni życia jawnej“, o Polsce zaś mówi Komierowski. Charakteryzuje on ponurą jednostajność życia ulic warszawskich i czwartaków studenckich, których przeciętny lokator „duszę na kisiel rozdygotał tą potrójną trucizną: z wschodniego samowara, wschodniego papierosa i wschodnich doktryn“.

Jednak w języku, stylu i sposobie bycia mówcy dostrzegamy również wpływ tego wschodu, o którym tak pogardliwie on się sam wyraża.

Oto:

„opowiadający tymczasem postanowił wstać: krzesło, wyprzedzając jego opieszałą wolę i nieskore ruchy, trzeszczało pod nim już od paru minut. A gdy się wreszcie podniósł, zdał się niedźwiedziem na tylnych łapach. Kołysał się tułów na rozchwianych nogach, oczy przymykały się przytem, nos wtulał w policzki, a usta chciały się jakby na całą twarz rozedrzeć: ziewał całem ciałem, wydłużały się prężnie wszystkie ścięgna, kurczyły wszystkie mięśnie zastałe, rozłaziły się stawy zakrzepłe,—przeciągnął się sam kościec w ciele leżałem. A ten ziew epicki przechodził w chytre, kose wejrzenie oczu i złośliwe rozedrganie warg“.

Gdy Komierowski opuścił pokój, zebrani opowiadają sobie jego *curriculum vitae*. Więc jeszcze na ławie szkolnej „brał on zanadto żywy udział w ruchu“. Kochał się on wtedy „w panience“, która „przez niego do tych jego spraw wciągnięta i zapalona — razem z nim też i wpadła“. On został zesłany na Sybir, gdzie przebył lat dwadzieścia, ona zaś „spadła — odrazu na oficerów“. Teraz dusza Komierowskiego—to arena ścierania się dwu pierwiastków: prymitywu młodzieńczego, czyniącego zeń sentymentalne „stare dziecko“, oraz wpływów wschodnich, o czem sam on tak mówi w chwili pijackiego jasnowidzenia:

„—Wylej mi bracie ten ołów roztopiony z żył. Spala mózg ten ich ogień ciężki, spala nienawiścią do życia!“

Po raz drugi stykamy się z naszym rewolucjonistą, kiedy on powraca „z placu boju“, cały zlany krwią, płynącą z porąbanej szablami głowy. Oto w związku z wybuchem wojny japońskiej odbywa się na ulicy rosyjska manifestacja patrjotyczna. Tak opowiada o tem sam Komierowski:

„—Obnosili oni ten okrzyk „wojna!“ po ulicach, jak odczarowanie temu życiu, jak odklęcie duszom. I nie pora mi było myśleć: kto się raduje, czy szczerze i komu na grozę? — porwałem okrycie i wybiegłem przed dom, nozdrzami zasłuchany... Wtedy oni do mnie za kapelusza nie zdjęcie...
— Bili? — wybełkotał Bolesław.
— Biłem się — odmruknął“.

Pułownik rosyjski rozumie ową bezcelową żądzę awanturniczości u Komierowskiego, to też namawia go do wyruszenia na wojnę w charakterze ochotnika. Pyszna to przemowa, trafiająca w sedno duszy starego rewolucjonisty:

„— Ot, co ja wam powiedzieć chciał, panie Komierowski: chodźcie wy z nami na wojnę. Czujęż ja człowieka i w was, wiem, gdzie duszy trzeba. Nu, i śmieję się! Polityki tam macie inne, swoje. Napluć i na politykę. Będziecie tam na polu bitwy, czy nie będziecie, polityki to nie zmieni, ni waszej, ni naszej. A zdrowia dusznego przybędzie... Lepiej takie ot rany w ciemne kąty własnego domu nieść i z niemi się kryć? I truć duszę wszystkiem, co skryte, tajne, mściwe? całe piekło pognębieńców w siebie brać? I jełczeć duchem, a gnuśnieć ciałem? Tak li — ha? Nie brak i u nas takich. Zresztą poznali na Sybirze... Nie ta was dusza wiodła. Ale na niej, wszystko jedno, zakończyli, na naszej — to, choć lewej. I pod ziemię zaleźli na życie całe jak kret. A i oczy, patrz, krecie się stały: zimne, wygasłe, słońcu nienawistne. Nie bojś, kto tą strawą duszę swą karmić zaczął, niech lata tylko poczeka: nic innego w siebie już przyjmować nie będzie, albo wszystko w duszy na żółć nienawiści przerabiać pocznie. I wierzcie mi, panie Komierowski — pułkownik uderzał się dłonią w piersi — na takiej duszy gorzej w końcu swoi wyjdą niż wrodzy. A dla niej jeden już tylko ratunek: dać tej nienawiści choćby sztuczne ujście, ale nagłe, gwałtowne, okrutne! A zwie się ten ratunek: wojna!“

W dalszej rozmowie pułkownik posuwa się konsekwentnie o krok dalej:

„—Pytam się: czemuby wam nie zruszczeć? No, i rzuca się! Ależ, dobry człowieku, wy i tak już przez pół.. Prosto i otwarcie w duszę nam iść nie chcieli, mierziło czuć odrębność, a i gwałt był w tem; więc fatygowali się aż takiem kołem: przez Sybir, podziemia krecie i mękę dwudziestoletnią... Ryby pod wodę uporem zawsze idące, jak te pstrągi — do źródeł chcą... Bo morze dla nas wszystkich Słowiańskie.. A z pstrągów najbardziej uparty — to wy, panie Komierowski: miota się i miota! Czy w Wiśle, czy w Obi, czy Jenisieju; zaś rzeka to każda w morze niesie i niesie“.

W scenie dalszej Komierowski opowiada jakąś swą przygodę na etapie, gdy go z grupą przygodnych zesłańców prowadzono wgłąb Sybiru. W pewnej chwili wszczyna on tam awanturę, w której się nie obeszło bez rozlewu krwi. Gdy ktoś ze słuchaczów zapytuje o powód tego buntu wobec straży więziennej, Komierowski narazie szuka jakiegoś upozorowania swego czynu, lecz wkońcu szczerze przyznaje, że „dostatecznym powodem jest własna dusza“. A gdy go pytają:

„— Nie bacząc nawet, czy tem korzyść, czy klęskę przyniosą innym?“

On odpowiada:

„— Może w głębi duszy nie bacząc i na to“

Niezmiernie ciekawe, jak Berent każe reagować swym słuchaczom na opowiadanie Komierowskiego. Oto, gdy on mówi, jak się to ów bunt więzienny zaczął, „w poruszeniu ogólnem słuchaczy czuć było ponurą nieaprobatę“. Gdy zaś był w punkcie kulminacyjnym swego „czynu“:

„Ten i ów ze słuchaczy żachnął się tak, że aż się z krzesłem odrzucił, słuchając z nerwową już odrazą tej zadzierzystej brawury „opętańca“.“

A oto jak wyglądał sam Komierowski:

„Komierowski to właśnie tchnienie gorączki i sapliwe oddechy wzburzonych słuchaczy chwytał w rozszerzone nagle nozdrza... Wyobraźnia ponura, otępiała w piekle, zdała się teraz dopiero odżywać w całej pełni pod zalatującą wonią okrucieństwa. Maska jakaś obca zasunęła się na tę twarz... Zdało się, że dokończy toku już nie dotychczasową czystą mową, lecz swą zwykłą, na pół pomieszaną z obcą gwarą, że z niej właśnie teraz barw i akcentów czerpać będzie, że bagatelizując w narracji rzeczy straszne, podkreśli jakiś potworny w nich drobiażdżek, że dokończy opowieści już nie swoją dawną duszą, lecz tą późniejszą, nabytą“.

Więc na słuchaczy opowiadanie to oddziaływało przygnębiająco:

„A gdy się opowieść skończyła, zahukane wyobraźnie słuchaczy błąkały się w ciszy, własnym już rozpędem, po wszystkich mękach, okrucieństwach i torturach życia, świadcząc swej uczuć władzy krzywdę nieobliczalną. Niejeden złapał się tu duszą jak w samotrzask: rozpalonemu do biała współczuciu sądzono stopić się z tego rodzaju afektami, a wyobraźni z ich bolesną potrzebą — we wszystkich potem dziedzinach życia.

Cisza panowała głucha i przetapiały się dusze w ogniu obcym“.

A później, nad ranem, gdy się goście już rozeszli, a zabłąkany profesor, przepraszając, wychodził do przedpokoju, Komierowski zapytuje Wandy:

„— Nie chodzi on tu z uchem? ha?
— Bójcie się Boga; profesor z Krakowa!
— Mało co profesor! I mało co z Krakowa!“

Jednak za Wandy naleganiem stanowczem Komierowski dopędził profesora już w przedpokoju.

„Starał się być poprawnym, a mówił przytem prosto i najniespodzianiej szczerze. Profesor stwierdzał dla się mimochodem potęgę rasowości: „przecież i taki niedźwiedź nawet, — myślał, — gdy zada sobie tylko nieco trudu i wyjrzy z tej narosłej skorupy barbaryzmu, staje się nieomal *charmeur*'em w obejściu“.“

A dalej, rozmyślając nad Komierowskim, tenże profesor dochodzi do takich wniosków:

„Z ciebie-by, bracie, oskrobać ten kurz dwudziestoletniego barbaryzowania się w nęku dusz obcych, ogolić jak się patrzy, ubrać w mundur, posadzić na konia, dać powieść szarżę jaką, a dokonałbyś może cudów nie gorszych od tych, unieśmiertelnionych dawną chwałą... I tkwi oto taki w tużurku zakrystjańskim, obrosły na szyi, jak ten wilk morski, samotny, ponury i odziczały, jak te rybaki. I wyławia oto w mętnych wodach życia resztki energij żywotnych, nie gardząc i kobiecemi. Tobież to warcholić śród tłumów, jak temu mnichowi, wieszczów cytować niby ojców kościoła?... Czy może być większe odwrócenie natury na wspak? Czy zdarzyć się ono może gdzieindziej na świecie?“

Ale słowa te profesora, acz może psychologicznie prawdopodobne w stosunku do Komierowskiego, są zbyt słabo uzasadnione objektywnym tokiem powieści. Natomiast dalsze szczegóły: że Komierowski jest socjalistą, że osadził u szwagra (barona) swego partyjnego konfidenta, w charakterze lokaja i szpiega zarazem, że zna cały proletarjat Powiśla — wszystko to w czytelniku nie budzi wątpliwości. Ale bardzo zadziwia czytelnika końcowa apoteoza Komierowskiego, któremu autor każe obok Wandy i chłopa z bochnem chleba w dłoni symbolizować „oziminę“, przyszłe odrodzenie narodu. Berent uległ tu zwykłemu potknięciu się urodzonego satyryka, który, dorabiając tezy pozytywne do genjalnego negatywu, wpada w niekonsekwencję. Jeżeli to prawda, co pisze Feldman, że Berent jest autorem pisma, wydanego w r. 1906 pod tytułem: „Idea w ruchu rewolucyjnym“ (pod inicjałami S. A. M.) — to ów brak uzasadnienia końcowej metamorfozy Komierowskiego byłby jasny, widocznie Berent znał niektórych szlacheckich przywódców rosyjsko-polskiej rewolucji, apoteozowanej niemal równocześnie przez Żeromskiego w „Róży“, i—wbrew oczywistości oraz artystyczno-psychologicznej prawdzie wyprowadzonej przez siebie sylwetki rewolucyjnego szlachcica,—przywiązywał do tego rodzaju osobistości jakoweś bliżej nieokreślone nadzieje.

Tak, jak jest obecnie, postać Komierowskiego może być uznana za typ polskiego rewolucjonisty, na którym w końcu „swoi gorzej wychodzą, niż wrogowie“.

STANISŁAW CYWIŃSKI

NA WIDOWNI

Zaproszenie do rozmowy. — Co „sanacja" ma do zarzucenia programowi narodowemu w sprawie żydowskiej. — Co mu przeciwstawia.

ROZMOWA publiczna, którą narodowiec - Polak pragnąłby nawiązać z rodakami swymi odmiennych przekonań na temat sprawy żydowskiej— nieuchronnie zamieniać się musi odrazu w... monolog. Dyskusji nad tem zagadnieniem, zwłaszcza w formie obowiązującej, rzeczowej, kiedy trzeba byłoby zaprezentować własny pogląd i pogląd ten—z polskiego stanowiska — uzasadnić i obronić, żadna grupa polityczna u nas, poza jednym obozem narodowym, nie ma chęci i nie ma śmiałości podejmować. Niema też wśród społeczeństwa polskiego jakichś dwóch albo więcej programów rozwiązania kwestji żydowskiej, współzawodniczących z sobą o zdobycie przewagi w polskiej opinji, istnieje tylko jeden program — polski, oraz przeciwstawny mu — żydowski, w walce zaś, jaka między niemi się toczy, tylko cząstka polskich sił jest uruchomiona, kiedy reszta albo stoi bezczynnie na uboczu, jakby nie spostrzegając, albo też dokuczliwie przeszkadza... swoim, mniej lub więcej zręcznie starając się podstawić im nogę, ukłóć ich, kopnąć z tyłu, albo przynajmniej uszczypnąć...

Mniejsza już o tych „poczciwców", co o kwestji żydowskiej milczą, jak nieboszczycy, co o każdym wogóle wypadku, jaki miał miejsce np. na Nalewkach, skłonni są pisać przez ostrożność: „W północno-wschodniej, kupieckiej dzielnicy miasta zdarzyło się... i t. d." O wiele gorszy jest ów rodzaj drugi, który obowiązany jest czynnie „przeciwstawiać się antysemityzmowi", zwalczać go i oficjalnie potępiać.

Zastanawiające jest, jak publicystyka „sanacyjna" wystrzega się formułowania poglądów swego obozu w kwestji żydowskiej i ich uzasadniania, jak unika nawet wszelkich polemik i wyjaśnień w obronie działalności rządu w tej dziedzinie. Sama nie mając odwagi wystąpić jawnie z jakimkolwiek programem w tej sprawie, wysila całą swoją pomysłowość, aby przy pomocy najróżniejszych, sprzecznych często i wykluczających się wzajemnie argumentów, choćby pozornie osłabić siłę przekonywającą twierdzeń obozu, który jedyny w sprawie żydowskiej w Polsce posiada program określony i jedyny programowi żydowskiemu się przeciwstawia.

Niedawno „Gazeta Polska", pragnąc pognębić moralnie Obóz Wielkiej Polski, wskazać na niskość i nieszlachetność jego ideałów, stwierdziła z pogardą: „O.W.P. wydało wojnę Nalewkom". Zdawałoby się, że stwierdzenie podobne nie może chyba przybrać charakteru... zarzutu. Wszak ten kompleks wartości kulturalnych, estetycznych, moralnych, który w skrócie syntetycznym ująć można jednym wyrazem: „Nalewki", nie jest skarbcem walorów tak wspaniałych, że zniszczenie ich byłoby jakąś katastrofą niepowetowaną dla Polski, dla cywilizacji, dla ludzkości... Wszak świat nie zbrzydłby, nie poszarzał, nie posmutniał, gdyby Nalewek nie stało. Wszak nie zostałyby zasypane przez to źródła, skąd duch polski czerpie siłę i ochłodę. I doprawdy, niezbyt suggestywny wydaje się pogląd publicysty sanacyjnego, że wypowiedzieć „wojnę Nalewkom" oznacza równocześnie „państwo własne już istniejące, dezorganizować" (podkr. „Gazety Polskiej"), boć nie na Nalewkach jednakże opiera się państwowa organizacja polskiego narodu. I sam pisarz też, czując najwidoczniej, iż to okropne oskarżenie o chęć zniszczenia Nalewek niedostatecznie jeszcze społeczeństwo polskie oburzy i przerazi, sięga nagle do argumentów zgoła odmiennego kalibru. Chodzi mu poprostu o to, że jest wogóle przeciwnikiem „znęcania się nad słabszemi".

Niepodpisany jest autor omawianego artykułu „Gazety Polskiej" i niełatwo jest stwierdzić jego osobę. Może tym wrogiem „znęcania się nad słabszemi" okazałby się sam p. wojewoda Kostek-Biernacki, jak wiadomo, postać w obozie sanacyjnym jedna z czołowych, a przytem z zamiłowania literat, z upodobaniem chwytający do ręki pióro, by wypowiedzieć ideały własne i swoich partyjnych towarzyszów. W każdym razie, nie przemawia zbytnio do przekonania owo nieoczekiwane rozczulenie się nad słabością żydostwa, ten bowiem, kto występuje do walki z żydami, dzisiaj jeszcze w niemałym stopniu naraża swoją karjerę osobistą, swe powodzenie życiowe, z pełną świadomością wybierając drogę i niebezpieczniejszą i trudniejszą, zgóry wyrzekając się całego szeregu udogodnień i korzyści.

Ale warto publicyście sanacyjnemu postawić proste pytanie: czemuż to nie uważa on za rzecz właściwą, ażeby żydzi w Polsce traktowani byli przez władzę państwową w taki sam sposób, w jaki dziś traktowani są... „endecy". Dlaczego każdy żyd i wychrzta nie miałby być usunięty z wszelkich urzędów i stanowisk w Państwie, tak skrupulatnie i metodycznie, jak wydalono z nich, w ciągu ostatnich lat sześciu, wszystkich podejrzanych o przynależność do „endecji"? Dlaczego wszyscy żydzi i neofici nie mogliby być tak całkowicie odsunięci od wszelkiego wpływu na bieg spraw państwowych, jak w tej chwili odsunięci są Polacy-narodowcy? Dlaczego „nastawienie" władz administracyjnych, policyjnych, skarbowych, szkolnych wobec żydów i żydostwa nie miałoby być takie, jakie dziś obowiązuje lojalnego, myślącego o swej karjerze urzędnika—w stosunku do... „obwiepola"?

I jeszcze jedno skromne zapytanie pod adresem sanacyjnego „państwowościowca". Czyż nie sądzi on, że państwo właśnie, przy pomocy odpowiednich ustaw, rozporządzeń, celowej działalności swoich urzędów powinno odegrać czynną i decydującą rolę przy rozwiązaniu — zgodnie z interesem polskim — tej najważniejszej ze wszystkich spraw, jaką jest w kraju naszym sprawa żydowska? Nacóż zdało się tak usilnie wtłaczać w umysły hasło wszechwładzy państwa, propagować wszechobecność idei państwowej w życiu zbiorowem, jeśli nawet tak kapitalne zagadnienie, jak żydowskie, miałoby być załatwione niejako poza państwem, bez jego czynnego współudziału? Wszak od sześciu lat zgórą praktyka „sanacyjna" codziennie przyucza społeczeństwo, że w stosunku do różnych grup i odłamów ludności państwo jest stroną, jawnie całkiem popierającą, subsydjującą jednych, zwalczającą i krępującą drugich. Czyż tu nagle sanacyjny entuzjasta interwencjonizmu państwowego,—jedynie w odniesieniu do kwestji żydowskiej okazywałby się... ortodoksyjnym liberałem?

Sanacyjni publicyści nawet w obronie Brześcia potrafili na łamach swojej prasy występować nieraz głośno, buńczucznie, z determinacją „straceńców". Ale gdy chodzi o wyjaśnienie, wytłumaczenie przed opinją polską stanowiska ich obozu w kwestji ży-

dowskiej, natychmiast odbiega ich werwa. Napastliwie zwalczają „antysemityzm endeków“, chcieliby go jaknajbardziej zohydzić, ale własny program w tym względzie przechowują w sekrecie, niczem tajemnicę organizacyjną, a już najmniej skłonni są dyskutować na temat, jakie są jego głębsze podstawy ideowe, jak się wiążą z ich ogólnym poglądem na świat, z ich pojęciem o zadaniach dziejowych Polski i jej cywilizacji. Rezygnują zgóry, by stanowiskiem w tej sprawie mogli zjednać sobie w społeczeństwie polskiem zwolenników. Nawet o konkretnych działaniach czynników oficjalnych, o ile dotyczą one żydów, publicyści sanacyjni wolą zachowywać pełne skromności milczenie, jeśli zaś dzienniki narodowe podadzą czasem jaki interesujący szczegół z tego zakresu, zazwyczaj zajmie się tem—we właściwy sobie sposób—cenzura...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

WIADOMOŚCI O KONFERENCJI IMPERJALNEJ W OTTAWIE zajęły ostatnio dużo miejsca na szpaltach prasy. Przy tej sposobności uwydatnia się zarówno wprawa propagandowa prasy angielskiej, jak niezawodna prawie niekompetencja przeważnej części naszych komentatorów, gdy chodzi o sprawy imperjum brytyjskiego. Warto zastanowić się pokrótce nad obu temi objawami. W pierwszym znajduje wyraz stara rutyna prasy, która przywykła do pewnej wstrzemięźliwości taktycznej, będąc informatorką świata o sprawach ojczystego mocarstwa. W drugim wyraża się nieprzygotowanie większości naszych publicystów do traktowania o sprawach powojennego porządku. I w jednym i w drugim wypadku trudno w prasie o informację pouczającą o prawdziwym stanie rzeczy. Wiadomości angielskie zniekształca zwyczaj zatajanie, które w prasie angielskiej zastąpił wulgarniejsze kłamstwo, pospolite dziś w bardziej efemerycznych pismach kontynentu; w komentarzach polskich wyraża się inny nałóg: nałóg myślenia kategorjami przestarzałemi w zakresie przedmiotu nowego, jakim są stosunki międzyimpenjalne. Prasa angielska jest mistrzynią przemilczania: to jej główna broń propagandowa. Podaje wiele solidnych i ścisłych informacyj: dlatego czytelnik angielski skłonny jest nie zwracać uwagi na dziedziny życia międzynarodowego, o których nie znajduje wzmianki w swej gazecie. Są takie dziedziny, systematycznie pomijane przez duży odłam prasy angielskiej w przeglądach zdarzeń: jedną z nich jest np. rozwijający się w Niemczech ruch polityczny pod hasłem odwetu na wschodzie. Gdzie zaś cała prasa angielska jest jednomyślna, tam jednomyślna jest i cała opinja angielska. Niewątpliwie dałoby się przytoczyć liczne wypadki narzuconych w ten sposób całemu narodowi sztucznych nieświadomości, kultów lub uprzedzań. W danym razie chodzi nam o coś innego. Z tonem prasy angielskiej niktby się nie domyślił, jak głębokie jest dziś w światłej opinji angielskiej przygnębienie z powodu płonności wysiłków odrodzenia gospodarczego Anglji przez układy z dominjanu: Prasa postanowiła, że obrady tym razem mają się zakończyć powodzeniem, że moment jest „przełomowy“, że jedynej sposobności tym razem stracić nie wolno, itd. Taksamo pisano w Anglji przy okazji zeszłorocznej konferencji imperjalnej w Londynie, która nietylko nie spełniła pokładanych w niej nadziei na poprawę międzimperjalnych stosunków gospodarczych, ale skończyła się (pod tym względem) właściwie zupełnem fiaskiem.

JAK CZYTELNIKOM „MYŚLI NARODOWEJ“ WIADOMO choćby ze sprawozdania Zastępcy, w teatrze Polskim w Warszawie wystawiona zostałą operetka autorów angielskich „Jim i Jill“. Walory i słabe strony widowiska omówiło w recenzji kompetentne pióro. Rzecz sama cieszy się w dobie upałów letnich powodzeniem. Zmęczona publiczność chętnie słucha pociesznego wygłupiania się bohaterów operetki. *All right.* Gust publiczności do bzdury jest zupełnie uprawniony, w okresie kanikuły niemal szanowny. Na myśl nam nie przychodzi krytykowanie upodobania do operetki, niespodzianie odrodzonej w Teatrze Polskim. Niepokoi nas co innego. Czyżbyśmy już nie potrafili wygłupiać się własnym dowcipem? Czy tak już nas nie stać na to, że cudze próby w tym zakresie sprowadzać musimy do kraju, jak banany, bo samodzielnie tego nie potrafimy? Czy niewiara we własne siły i snobizm w stosunku do „zagranicy“ posunęły się tak daleko, że zachodzi konieczność importowania „Jima i Jilla“, „komedji muzycznej“ w dobie kryzysu? Jest w tem jakaś niepoślednia śmieszność. Farsy, komedje, dramaty roboty autorów obcych, wystawiane na naszych scenach, jakkolwiek bardzo wskutek tego strawestowane, przecież coś mówią o prawdzie obcego środowiska, informują o duszy obcego narodu. Tej rzetelnej wartości zazwyczaj nie posiada zupełnie tłumaczona, przeciętnie licha operetka. Najpierw rymy... W wymownych przekładach Hemara czy innych piór równie świetnych ginie zupełnie duch oryginału. „Wstawki“ tłumaczów dodatkowo przydają aktualności utworowi. Muzyka — jeden banał, bez ciekawszego piętna narodowego, konwencja lokali rozrywkowych prawie jednakowa od Gdyni do Bournemouth... To importować? Jeśli dla odpoczynku słuchać mamy kiepskich dowcipów — poco zaraz oglądać się rozpaczliwie na zagranicę? Ależ zbyt odruchowy pesymizm!

„MURZYN WARSZAWSKI“ KOMEDJA A. SŁONIMSKIEGO, na scence teatrzyku Banda, przeniosła nas niespodziewanie w te normalne czasy niedalekiej może przyszłości, kiedy żydów w Polsce już niema i kiedy sztucznie ich sobie stwarzamy na scenie, chcąc uprzytomnić sobie, jak wyglądali. Żydowskie postacie tej sztuki odtwarzali sami Polacy, z Jaraczem na czele. Żydów już jakby zabrakło: już inaczej grać ich nie sposób. Naturalnie musiało to być stylizowane. Niepodobieństwem było imitować żyda dokładnie, a sprowadzać prawdziwego z Palestyny za drogo snadź w czasach kryzysu... Obsada ról przez siły polskie dawała w ten sposób miłą podnietę wyobraźni, — natomiast dziwnie przykre było wrażenie samej sztuki. Zlekka zaskoczył brak dowcipu, ale zlekka. Zdziwiło natomiast serjo, że automat humanitarny nie działał. Ściślej: zdziwił w utworze Słonimskiego tak zupełny brak uczuć ludzkich. Uwydatnił to Jaracz, stwarzając z figury Hertmańskiego postać żywą.

Po pierwsze postaci utworu same przez przez się zapewne nie zainteresowałyby na tyle, żeby o ich traktowanie można było mieć pretensje do autora. Jaracz z nadwyżką nadrobił brak scenicznego talentu Słonimskiego, potęgując zarazem u widza niesmak moralny w stosunku do kreacji autora. Efekt, powiedzmy szczerze, był ten: Jaracz—Hertmański budził współczucie, Słonimski—obrzydliwość. Jaracz niespodziewanie stworzył człowieka — i ukazał u apostoła humanitaryzmu brak szacunku dla człowieka. Może mimowolny: autor obracał się w świecie postaci papierowych. Ale szczególnie przykre i niewytłumaczalne było to, że sztukę bez zmian wystawiono po tragicznej śmierci księgarza, który „wyobraźni“ autora posłużył za prototyp Hertmańskiego.

W SPRAWIE „MIARY MIAR“

W NUMERZE 32 „Myśli Narodowej“ p. Stanisław Pieńkowski umieścił artykuł pod tytułem powyższym, w którym zakwestjonował niektóre wyrażenia i ustępy z mojego, jeszcze w styczniowym numerze „Gazety Literackiej“ drukowanego artykułu p. t. „Polemika o styl podhalański“. Niestety, dość znaczna część polemiki p. Pieńkowskiego godzi w próżnię, albowiem szczególnie przezeń wyróżnione zdanie zostało wydrukowane błędnie, a Redakcja „G. L.“ sprostowania mego nie umieściła, wychodząc z dobrodusznego założenia, że „sprostowań i tak nikt nie czyta“... Otóż miało być n i e:

„Trzeba tu — jak wszędzie zresztą — rzeczowego, kulturalnego: *distingué*“ (po franc.), l e c z:

„Trzeba tu — jak wszędzie zresztą — rzeczowego, kulturalnego: *Distingue*“ — (po łacinie, „rozróżniaj“).

Ze sprostowania tego wynika, że odpada racja repliki na pewne chwyty polemiczne Szanownego Oponenta. Niemniej jednak, skoro wolno mi przypuścić, że artykuł ów w swych linjach zasadniczych mógłby był być napisany, nawet bez owego przykrego i tak śmiesznego *distingué*, a przedwszystkiem skoro autor jego zdaje się zapraszać do dyskusji na pewien ważny temat, przeto, przy wolniejszym czasie, gotów jestem podjąć ją tu, czy gdzieindziej. W każdym razie w „Gaz. Lit.“ znajdzie się miejsce na obliczenie ilości s ł ó w — ale i k w e s t y j ś c i ś l e d o t y c z ą c y c h sprawy stylu podhalańskiego, — użytych i poruszonych w naszych artykułach. Ażeby ewentualną dyskusję „zasadniczą“ odciążyć od rzeczy błahszych, ściśle prywatnych, niech mi wolno będzie tu już zaznaczyć i wyjaśnić:

Co do osoby mego Szanownego Rozmówcy: W mej polemicznej, godzącej weń mimochodem uwadze, nie wymieniłem p. Stanisława Pieńkowskiego „imiennie i rodowo“, bo kierowałem się, słusznie czy niesłusznie pojętem, koleżeństwem wobec pisarza, z którym mam zaszczyt spotykać się na łamach niniejszego pisma. Nie wyobrażałem też sobie, ażeby uwłaczającą mogła być tytulatura „publicysty“, a do tego „warszawskiego“, skoro „publicystą“ jest, kto pisuje o sprawach publicznych, a „warszawskim“, kto pisuje w pismach warszawskich.

Co do mojej osoby: P. Pieńkowski, polemikę swą skierowawszy „nie do j e d n e j osoby“, to jest, oczywiście, mojej, „a l e do całej w naszem społeczeństwie gromady, która rozmiękczeniem woli, literackością myślenia, chwiejnością charakteru na liczne strzały Polskę w ostatniem dziesięcioleciu naraziła“ (str. 468) — czyni mię *ipso verbo* jeśli nie, w danym wypadku, reprezentantem, to przynajmniej uczestnikiem owej „gromady“. Wobec takiej segregacji nie pozostaje mi nic innego, jak apelować do łaskawej pamięci tych Czytelników, których spór niniejszy zdołał zainteresować, a którzy publicystykę mą znają stąd i skądinąd. Ponadto p. Pieńkowski w zwięzłych zarysach daje mą sylwetkę, jakąś miękką i kłaniającą się na wsze strony. Otóż taki *„aussenbild“* jest mi specjalnie niewygodny, i dlatego, pozwalając sobie na niejakie mimochodem samochwalstwo, podam dla informacji mego rozmówcy, iż na pewnym zjeździe literackim, w momencie wysokiego napięcia pewnego kultu (Wilno, 1928) byłem z pośród paru opozycyjnych literatów j e d y n y m, który przy pewnej sposobności n i e p o k ł o n i ł się... Co było, jak na ów czas, niejaką sensacją.

Podobnież i zdanie o „ludziach miękkich i p o w i e r z c h o w n i e n a s z t u k ę p a t r z ą c y c h“ zastosować muszę — dzięki aluzji do „akcentów“— i do siebie. Trudno w takich rzeczach — (inaczej niż w rzeczach honoru) — oceniać siebie samego, może jednak miarą w tym względzie służyć będzie to, iż zawsze ze smakiem i często z żywym aplauzem czytuję artykuły Stanisława Pieńkowskiego z dziedziny estetyki — a to nawet wtedy, kiedy temat tak stosunkowo błahy, jak np. fotografiki, traktują z akcentami jakiejś zaiste tu przynajmniej zbędnej irytacji.

Wreszcie już na karb czystej małostkowości proszę policzyć to moje zastrzeżenie, iż nie mogę liczyć się do „s t a r s z y c h panów z kulturą“, conajwyżej do panów w średnim wieku etc., dowodem niechaj służy chronologja faktu, iż piękne poezje autora „Masek życia“ — i innych utworów, pisanych z niegasnącą nigdy werwą — czytywałem jeszcze będąc bodajże w mundurku gimnazjalnym.

Obawiam się jednak, że nawet po wyłączeniu tych ściśle prywatnych rzeczy z ewentualnej dyskusji na temat tego, co p. Pieńkowski syntetycznie ujmuje jako przeciwstawienie „rasowości“ i „chamstwa“ — (a co zawiera wiele spraw, wymagających dokładnego rozróżniania) — nie do uniknięcia będą akcenty i chwyty polemiczne poniekąd osobiste. Albowiem najzażartsze, najtrudniejsze do myślowego rozwikłania, a także i najprzykrzejsze spory wybuchają tam, gdzie na gruncie przynależności do j e d n e j i d e i działa jakaś tajemnicza *differentia specifica* — czego, powtarzam, obawiam się w niniejszym wypadku i niektórych podobnych: Przy równości celów, niepokojącą i drażniącą różność środków, chętnie, a może i słusznie, składa się wzajemnie na właściwości osobiste.

Jordanów, 24.7.1932 KAROL LUDWIK KONIŃSKI

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Cały rozdział piąty prześlicznej książki S t a n i s ł a w a W a s y l e w s k i e g o o Lwowie („Cuda Polski“, tom IV, wydawnictwo Polskie w Poznaniu) — rozdział p. t. *„Aywas — Rumhasken — Passakas“* — poświęcony jest dziejom i zasługom polskich Ormian, a taką między innemi zawiera konkluzję: „Zastrzyki krwi ormiańskiej nie psuły rasy polskiej i nigdy na złe nie wychodziły. Raczej na dobre“. Istotnie potomkowie dalekiego szczepu aryjskiego, którzy osiedli na ziemi polskiej, dobrze odwdzięczali się Polsce za udzieloną

gościnę. Brali udział w walce za swą przybraną Ojczyznę, służyli jej czem mogli: pracą, piórem, słowem żywem. Wyrośli z tego szczepu znakomici pisarze: Zacharjasiewicz, ks. Anteniewicz, arcybp. Teodorowicz, Nikorowicz, S. Barącz, a podobno i Juljusz Słowacki miał w sobie krew ormiańską; wyszli uczeni, jak prof. Bołoz-Antoniewicz, prof. Teodorowicz Feliks (słynny „grzybiarz"), ks. Kajetanowicz; wyszli muzycy, jak Nikorowicz, twórca melodji „Chorału". A ta żywotność nie opuszczała polskich Ormian po dziś dzień ani na chwilę. Dostojny arcybp. Teodorowicz ogłosił świeżo nakł. księg. św. Wojciecha dużą książkę, pięknie napisaną, a jednocześnie wartościową jako dzieło naukowe, „Od Betleem do Nazaretu"; rzecz ta zasługiwałaby na omówienie obszerne. Pod protektoratem ks. Arcybiskupa wychodzi już od lat sześciu ilustrowany miesięcznik, będący organem „Związku Ormian", a od ormiańskiego patrona, Grzegorza z Nazjanzu, nazwany „Posłańcem św. Grzegorza". Nie jest to jakby z tytułu sądziś można—pismo treści wyłącznie religijnej, owszem sprawy świeckie wiele tam zajmują miejsca. Spotykamy tu np. wiadomości o wystawie ormiańskiej, urządzonej we Lwowie; na innem znów miejscu czytamy ciekawe, z rzewnym humorem napisane, pamiętniki Ignacego Nikorowicza, niedawnego laureata nagrody literackiej m. Lwowa. Pozatem są tu obfite notatki, dotyczące literatury ormiańskiej w całym świecie; nasi orjentaliści powinni interesować się niemi gorąco, zarówno jak i gramatyką ormiańską, wydaną właśnie niedawno. A całe społeczeństwo polskie powinno się zainteresować sprawą świątyń ormiańskich w Polsce Arcydzieło sztuki, jakiem jest katedra ormiańska we Lwowie, ma już głośną sławę w świecie. Warto jednak wiedzieć, że wojna zniszczyła wiele kościołów ormiańskich, zwłaszcza prześliczny kościół z XVII w. w Stanisławowie, wymagający gwałtownie odnowienia. Akcja ratunkowa byłaby czynem prawdziwie patrjotycznym. (J. B.)

*

Lwów zdawiendawna słynie, jako miasto zamiłowane we wszelkiego rodzaju wystawach. Po arcyciekawej wystawie zabytków ormiańskich odbyła się druga wystawa, w innym rodzaju, ale niemniej osobliwa. Oto podczas XII Targów wschodnich, obok wystawy psów rasowych, oglądać można było wspaniały zbiór „polskiej książki kynologicznej", t. j. książki poświęconej życiu, hodowli i tresurze psów. Inicjator wystawy, wybitny lekarz, uczony, miśliwy i bibljofil w jednej osobie, dr. Witold Ziembicki słusznie zaznacza w wydanym przez siebie katalogu (stanowiącym przez się cacko bibljofilskie), że jest to przedsięwzięcie pierwsze i jedyne na ziemiach polskich. W ciągu krótkiego czasu zdołano zgromadzić 223 eksponatów, z których niejeden należy do białych kruków bibljotecznych. Na ich czele idą dwa druki z XVI w.: Krescentyna i Siennika; XVII wiek reprezentują liczne już dzieła Jana Ostroroga i Jakóba Haura, XVIII w. zaś słynne dzieło księdza Kluka, które tak cenił autor „Pana Tadeusza". Ale rozkwit literatury zwierzęcej wogóle, a „psiej" w szczególności przypada na wiek XIX i XX. Obok dzieł naukowych, podręczników etc., znalazło się też kilkadziesiąt utworów literackich, na których czele idą Wodzicki i Dygasiński — dwaj polscy klasycy opisów życia zwierzęcego, którzy niewielu mają sobie równych w literaturze świata. (J. B.)

*

Przeżywamy dziś okres rozluźniania się węzłów międzynarodowych; narody zaczynają same szukać dla siebie ratunku, nie oglądając się na innych. W tym okresie tem dziwniejsza jest broszura Wacława Dzierzgowskiego „Międzynarodowy Fundusz Pracy" Warszawa 1931 r. str. 64. Autor projektuje utworzenie międzynarodowego funduszu pracy, przy którego pomocy poszczególne państwa przeprowadzałyby roboty publiczne i w ten sposób zmniejszały bezrobocie. Fundusz czerpałby środki z dodatków do opłat pocztowych, pobieranych we wszystkich państwach. Autor widocznie uważa, że zbawienie świata, i tak już przeciążonego podatkami, leży w ustanowieniu nowych podatków. Czyby nie było prościej, żeby każde państwo samo pobierało ten podatek pocztowy? Autor jest człowiekiem pracowitym: obliczył szczegółowo, wiele podatek powinien dać w poszczególnym kraju. Chcąc pomódz dyplomatom, którzyby zawierali konwencję w tej sprawie, przygotował nadto szczegółowy tekst tej konwencji. W swych pracach przygotowawczych zapomniał on tylko o tem, że w okresie wzmagania się ruchów narodowych na całym świecie, takie ograniczenie suwerenności narodów, jak podatek międzynarodowy, jest zupełnie niemożliwe. Broszura jest jaskrawym przykładem tak często dziś spotykanego zaniku poczucia rzeczywistości przy myśleniu nad sprawami społeczno-politycznemi. (J. P.)

*

W Nr. 24 „Myśli Narodowej" w artykule „Kapitał swój czy obcy?" podaliśmy szerega danych, dotyczących kapitału obcego w Polsce. Ciekawe fakty z tej dziedziny zawiera broszura Zenona Pietkiewicza „Kapitały obce w życiu gospodarczem Polski" Poznań 1932 r. str. 19. (J. P.)

*

Przeszkodą poznania naszego gospodarstwa narodowego jest brak monografij, któreby ujmowały rozwój i stan obecny jego poszczególnych gałęzi. Dlatego z uznaniem należy powitać coraz częściej pojawiające się tego rodzaju monografje, opracowane przez uczestników seminarjów ekonomicznych naszych wyższych uczelni. Jedną z nich jest książka, napisana przez dra Mirosława Orłowskiego „Żelazny przemysł hutniczy na ziemiach polskich do 1914 r." (Warszawa 1931 r. str. 321). Jest to praca doktorska, opracowana na seminarjum prof. Kostaneckiego Zawiera ona bardzo dużo cennych materjałów, dotyczących przeszłości i rozwoju naszego przemysłu hutniczego. Natomiast mniej w książce wniosków, któreby wskazywały istotę opisywanych zjawisk i kierunek odbywającego się rozwoju. (J. P.)

*

W krótkim okresie czasu pojawia się na rynku księgarskim druga książka, poświęcona naszemu hutnictwu żelaznemu. Jest nią książka Antoniego Dzika „Hutnictwo żelazne w Polsce" (Warszawa 1931 r. str. 137). Książka ta góruje nad pracą M. Orłowskiego (o przemyśle żelaznym) syntetycznem ujmowaniu zjawisk, co może wynika z większej, bo nie tylko teoretycznej znajomości omawianego tematu. Wzbudza wątpliwości zupełnie dowolny podział rozwoju hutnictwa w niepodległej Polsce na schematyczne pięcioletnie okresy, co utrudnia wyrobienie sobie syntetycznego poglądu na drogi rozwojowe tej gałęzi naszego przemysłu. Zbyt pobieżny wydaje się rozdział, poświęcony dalszemu rozwojowi naszego hutnictwa, polityce, jaką ma ono prowadzić. Brak jest również materjałów, dotyczących wpływów, zresztą bardzo znacznych, kapitału obcego w hutnictwie. Mimo tych usterek książka jest bardzo cennem źródłem, zapoznającem nas ze stanem naszego hutnictwa żelaznego. (J. P.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Constantin Photiades napisał nowy życiorys głośnego w wieku XVIII awanturnika, masona, hypnotyzera i magika Józefa Balsamo, występującego pod nazwiskiem ks. Cagliostro, pt. *„Les vies du comte de Cagliostro"*. Rzecz zawiera dużo informacyj i pisana jest żywo. Nie wyjaśnia jednak całego szeregu zagadek z życia Cagliostra, autor zaś stara się być li tylko objektywnym opowiadaczem kolei życia swego bohatera. (K.)

*

O przyczynach światowego kryzysu gospodarczego wydał ciekawą książkę Pierre Lucius p. t. *„Faillite du Capitalisme"*. Autor, znany pisarz ekonomiczny francuski, oświetla kryzys podobnie, jak to w Polsce uczynił Dmowski. Nie ogranicza się przytem do djagnozy, lecz daje pewne wskazania na przyszłość. Jest przeciwnikiem liberalizmu, odnosi się krytycznie do etatyzmu i komunizmu, jest natomiast zwolennikiem gospodarki zorganizowanej, to znaczy takiej, przy której środki ograniczenia działalności gospodarczej jednostki są złożone w ręce organizmów społecznych. Książka jest ciekawa. (K.)

*

Bardzo szczegółowy materjał faktyczny, dotyczący podatku spadkowego w różnych krajach, zawiera praca doktorska Roberta Jeannota p. t. *„Etude critique de l'evolution des droits de mutation par décès en France et a l'etranger"* (Dijon 1931 r. str. 283). Zdziwienie wywołuje rozpatrywanie poza podatkami spadkowemi szeregu państw większych, jak Anglja, Stany Zjednoczone, Niemcy i Włochy, jedynie bułgarskiego podatku spadkowego, nie wykazującego specjalnie oryginalnych cech lub instytucyj. Specjalnie dla nas interesujące jest omówienie reformy podatku spadkowego, dokonanej we Włoszech, gdzie, jak wiadomo, został skasowany przy spadkobraniu w linji prostej, w linji bocznej do trzeciego stopnia włącznie oraz między małżonkami. (J. P.)

*

W książce *„El derecho a la vida"* (Prawo do życia) Antonio Hoyos y Vinent porusza w sposób pełen szczerości zagadnienia aktualne, dotyczące Hiszpanji i daje syntetyczne i jasne ich rozwiązania. Wychodzi z założenia prawa należnego każdemu, które mimo to musi być dostosowane do praw ogólnych. (F. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W ODRÓŻNIENIU od ogólnych wystaw sztuki współczesnej, zorganizowanie wystawy o charakterze mniej lub więcej retrospektywnym nasuwa całkiem specjalne trudności. Gdy przy pierwszych dostarczeniem materjału wystawowego zajmują się wyłącznie jego autorzy, do *jury* zaś należy tylko przesianie nadesłanych objektów przez sito sądu, a do gospodarza wystawy estetyczne ich rozmieszczenie, — to w drugim wypadku na barki organizatorów imprezy spada całkowity ciężar urządzenia wystawy od *a* do *z*. Muszą oni umieć dotrzeć wszędzie w poszukiwaniu potrzebnego im w danym wypadku dzieła sztuki, nie pominąć żadnej okazji, którаby pozwoliła uczynić obraz przeszłości, jaki zamierzają przedstawić oczom widza, pełniejszym, bogatszym i prawdziwszym. Później, segregacja utworów plastyki ma iść nie tylko po linji oceniania ich wartości artystycznej: zgromadzone objekty musi jednoczyć oprócz ładu optycznego i porządek proporcji ilościowej, prawdziwy w odniesieniu do odcinka życia, jaki ma wyobrazić. Obraz przeszłości może być piękny, powinien być wierny. Na wystawie „Polskiej Sztuki Kościelnej“, zorganizowanej przez Zachętę, jest on brzydki i nieprawdziwy. Oczywiście Zachęta w swej pracy musiała spotkać się z trudnościami, o których była mowa, to jednak w niczem nie umniejsza jej odpowiedzialności. Lekkomyślne podejmowanie zadań, których się nie umie zrealizować, nie przystoi poważnej instytucji. Zanim przejdziemy do udowodnienia słuszności zarzutów przykładami, trzeba wymienić warunki, jakim musi odpowiadać dzieło sztuki, aby mogło się znaleźć na podobnego rodzaju wystawy. Są niemi: 1) temat, 2) wyobrażenie tematu według wskazówek ikonografji chrześcijańskiej, 3) poważny i szczery stosunek uczuciowy autora do treści dzieła. Widzimy, że pierwsze dwa warunki, dotyczące formalnej strony utworu, aczkolwiek bardzo ważne, łatwe są do wypełnienia, przy pewnej dozie dobrej woli i zaznajomieniu się z przepisami jakie nam ikonografja podaje. Trzeci warunek dotyczy nie formy, lecz ducha dzieła. Uczynić mu zadość bez porównania jest trudniej, a przecież bez niego nie może być mowy o sztuce religijnej, w prawdziwem tego słowa znaczeniu. W naszem rozumieniu, organizatorowie wystawy nie powinni byli przyjmować dzieł, któreby nie odpowiadały dwum pierwszym warunkom, a zarazem postarać się o skupienie jaknajwiększej ilości odpowiadających trzeciemu. Dalej posunięta tolerancja *jury* w rezultacie wypaczyłaby charakter wystawy. Tak właśnie się stało. Z pośród okazów „Polskiej Sztuki Kościelnej“, zgromadzonych w Zachęcie, 70 pochodzi z XVIII-go i XIX-go stuleci, przeszło dwieście z czasów współczesnych (wiek XX-ty). Jakże się przedstawia ich strona formalna? (dwa pierwsze wspomniane warunki). Sięgnijmy do broszury dr. Mieczysława Skrudlika p. t.: „Prawda o wystawie Polskiej Sztuki Kościelnej w Zachęcie“. Dr. Skrudlik jest, jak wiadomo, znakomitym znawcą ikonografji chrześcijańskiej, autorem licznych prac naukowych z tego zakresu. W swojej broszurze podaje analizie niemal wszystkie obrazy, rzeźby i grafiki działu sztuki współczesnej. Wyniki jej są fatalne. Okazuje się, iż większość dzieł urąga wprost w bezprzykładny sposób wymogom, stawianym sztuce przez Kościół. Od siebie musimy dodać, że znaczna część tych malowideł nietylko ze sztuką kościelną, ale i wogóle ze sztuką niewiele ma wspólnego. Widzimy tu także kilka utworów wartościowych. Niestety, są one przeważnie tak luźno, nawet tematowo, z religją związane, że umieszczenie ich na podobnej wystawie niczem się nie da usprawiedliwić. W dziale retrospektywnym sytuacja przedstawia się odmiennie, ale zgoła nie lepiej. Niema już takich różnic w poziomie, zato sztukę zbyt często zastępuje rutyna. Dział współczesny prawdy ikonograficzne negował lub fałszywie naświetlał, tutaj zaś przedstawia się je wierniej—ze względu na większą ówczesną znajomość i poszanowanie ikonografji — lecz jakże nudno! Dominuje dęta forma baroku, konwencjonalizm, kłamany patos teatralny, który nigdy w nikim zapewne oddźwięku uczuciowego nie budził. Sięgając w przeszłość, wybrano, niewiadomo dlaczego, okres najmniej potrzebom Kościoła i religji zasłużony. Sztuka, w swych przeróżnych działach, była w wielu epokach wyłącznie religijną, w najgłębszem tego słowa znaczeniu. Np. drzeworyt ludowy, gdzie temat świecki jest rzadkością, najstarsze ryciny, obrazy na szkle malowane i t. d. Nie zaczerpnięto z tego skarbca, z jakich powodów?— niewiadomo, boć na wystawie znajdują się przecież okazy współczesnej grafiki. Sztuka ludowa, poza sprzętem i budownictwem, niemal wyłącznie potrzebie kultu służąca, nie została wcale uwzględniona. Dlaczego? Dłonią prostaczka, który ją tworzył, kierowała Wiara i Miłość i w dzieła swoje nawet najwięksi artyści dziś nie potrafią tchnąć tyle uczucia religijnego.

Nieraz, już, tak i w tym wypadku, Zachęta dziwnie ciasno pojmowała słowo: sztuka. W jej rozumieniu sztuka: to tylko obrazy i rzeźby. „Sztuka kościelna“? Gdzież jest w takim razie tak bogaty i różnorodny sprzęt kościelny, gdzie przedmioty kultowi służące, gdzie architektura, budownictwo, dekoracja świątyń i t. d? W zastosowaniu do tak zorganizowanej wystawy i sam termin „sztuka kościelna“ staje się niezrozumiały. Można przez nią pojmować dzieła stworzone do użytku Kościoła, mogące się znajdować w jego obrębie, lub w jego obrębie powstałe (np. w klasztorach). To, co widzimy na wystawie, jest dziełem ludzi świeckich, wykonanem bez uszanowania pojęć, ustalonych w tej dziedzinie przez Kościół. Dlatego też w kościele żadnego zastosowania mieć nie może.

Na zakończenie nie potrzebujemy chyba dodawać, że taka wystawa nie pożyteczna jest, a szkodliwa. W umyśle mniej uświadomionego widza (a takich b. wiele) i cudzoziemca, po jej obejrzeniu, powstanie obraz z gruntu fałszywy. Będzie im się zdawało, że Polacy bardzo mizerny mają dorobek na tem polu. Że sztuka kościelna właściwie u nich nie istniała, że artyści polscy unikali tematów religijnych, lub nie mieli o nich pojęcia. Że kiedy wreszcie przyszło do wykonania obrazu religijnego, czynili to znudzeni i z niechęcią. Nie posądzamy oczywiście kierownictwa Zachęty o rozmyślnie złośliwe sfałszowanie prawdy. Przyczyną wszystkiego jest nieudolność sterników instytucji, absolutne niezrozumienie istoty podejmowanych przez nich poczynań. Wystawa sztuki kościelnej podobno miała być ukoronowaniem dotychczasowej działalności uporczywego prezesa Zachęty p. Brzezińskiego. Stała się czemś wręcz przeciwnem.

WIKTOR PODOSKI

OFENSYWA

„AUTOS EFA“

I.

„Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznaną powszechnie potęgą. Jego postępami, jego rozwojem, jego rozpowszechnieniem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacji i kultury.

A jak my Polacy... stoimy pod tym względem? Odpowiedź bardzo łatwa. Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać nie sfałszowanej historji swego narodu. Dosyć widzieć utwory naszych wieszczów, pokaleczone ręką cenzorów; dosyć pomyśleć, że istnieje społeczeństwo, w którem stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie, skazane na przemawianie potwornym niewolniczym językiem Ezopa. Dosyć wyobrazić sobie, że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce... a często zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć jak nieodpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżająco wyglądamy wobec innych narodów“.

II.

„Więc naprzód terror w najszerszem tego słowa znaczeniu. Wszystko, co mogło być uznane za podejrzane, „uwięziono“. Wzmocniono, jak zawsze prawa wojska w stosunku do ludności, zaostrzając kary za wszelkie występy. zakłócające działania wojskowe. Skierowano też jak zwykle na teatr wojny strumień złota, by tam, gdzie nie wystarczy skrawek idealizmu czy strach, wzmocniony terrorem, spróbować zwykłego w takich wypadkach środka przekupstwa. Złoto wciąż płynęło pod różnemi pozorami: czy w postaci nagrody za straty, dawanego hojniej pokornym a odmawianego lub dawanego w małych kwotach obojętnym czy niepokornym; czy w postaci najrozmaitszych subsydjów pismom, instytucjom i towarzystwom; czy w najgorszej i najbrzydszej postaci kupowania sobie ludzi jako szpiegów i informatorów w najrozmaitszych kwestjach i dla najrozmaitszych celów“.

III.

„Wobec wzrastającej fali niezadowolenia ludowego rząd chce nam zaszczepić politykę niewolników, politykę pokory, wabiąc nas obietnicami różnych łask i dobrodziejstw na tej drodze...

Ale Carska demagogja nie zamydli nam oczu... Pokornemu na łbie kołki krzesać można.. mówi nasze przysłowie, streszczając w sobie tę dziejową prawdę, że pokora i uległość tylko do wzmocnienia i utrwalenia niewoli prowadzi...

Skupiając swe siły do przyszłej stanowczej rozprawy z rządem Carskim nie możemy biernie wyczekiwać tej chwili i dziś obojętnie znosić wszystkie razy ze strony rządu despotycznego...

By jarzmo niewoli nie wpiło się nam w barki, by nie wyrodziło naszego ducha cierpliwem znoszeniem zniewagi i poniewierki, musimy zawsze stać na straży swej godności i odpierać wszystkie zamachy rządu przeciw nam skierowane.

Zawsze i wszędzie rząd (Carski) powinien spotkać w nas wroga, który nie pozwoli się bezkarnie znieważać i zakuwać w nowe więzy niewoli.

Przyczyną rozwielmożnionej u nas samowoli urzędników i ich nadużyć jest cały dzisiejszy ustrój rządu, samowładztwo połączone z najazdem...

Aby usunąć przyczynę złego, trzeba oddać władzę prawodawczą w ręce samej ludności i zapewnić jej jak najrozleglejsze prawo kontroli i usuwania urzędników...

I dlatego też, nie zrzekając się bynajmniej żadnych środków poskramiania już dzisiaj nadużyć i samowoli urzędniczej, dążyć będziemy do wywalczenia sobie samodzielnej Rzplitej Polskiej, opartej na zasadach demokratycznych...

Każdy taki gwałt nie może być ukryty. Wystrzały zbyt szerokiem rozchodzą się echem, zbyt głośno dowodzą, że w państwie Cara nie wszystko jest w porządku, nie wszystko w cichości i pokorze znosi dobrodziejstwa knutowładztwa.

...Z jednej strony dzika, barbarzyńska Azja wdziera się do naszego życia z całą swą bezwzględnością, okrucieństwem i niewolniczością, z drugiej przeciwko niej powstaje ruch w całem tego słowa znaczeniu europejski, polegający na rozbijaniu kajdan, krępujących rozwój ludzi, na usuwaniu nawet śladów niewoli i panowania człowieka nad człowiekiem“.

IV.

„Dlatego między innemi, gdy siedziałem w X pawilonie w Warszawie, czuje rozrzewniającą przyjemność wspominając o nim.

Gdy mnie do niego przyprowadzono wydał mi się przykrem zjawiskiem, tak jak numer hotelu“.

V.

„Trzymano mnie jako wyjątkową osobę w twierdzy magdeburskiej w zupełnej izolacji, dając mi za to wiele wygód i wielką swobodę więzienia.

Trzymano mnie jako generała, dano mi trzy pokoiki, ogródek do rozporządzenia, ordynansów i t. p.

Miałem zatem najswobodniejsze więzienne życie o jakiem można było marzyć“.

VI.

„Oburzała mnie specjalnie absolutna bezkarność wszystkich nadużyć w Państwie i wzrastająca coraz bardziej zależność Państwa od wszystkich nuworiszów, którzy na równi ze mną i wielu ludźmi przyszli do Państwa Polskiego ubodzy i zdążyli kosztem Państwa i kosztem wszystkich obywateli w kilka krótkich lat wyrosnąć na potentatów pieniężnych, chcąc by ku hańbie naszej ojczyzny Państwo we wszystkich drobiazgach należało do nich“.

*

Cytaty te wzięte z J. Piłsudskiego: „Walka Rewolucyjna w zaborze rosyjskim“, z „Pisma, Mowy, Rozkazy“. Tom I. Warszawa 1930 oraz z Wywiadu z dnia 24 maja 1926.

Podkreślenia niżej podpisanego.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Przysłowiem za przysłowie: W pewnem gimnazjum, w którem uczniom łamie się życie za czytanie Dmowskiego, a profesorów likwiduje się za *crimina* jeszcze sroższe, pan dyrektor w stronę podejrzanych uczniów adresuje piękne przysłowie: Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie. A na to jeden z chłopców: Tak, panie dyrektorze, ale kij ma dwa końce.

*

Człowiek, który jadł obiad z Hallerem. Scena, osoby. Miasteczko podgórskie. Sejmik powiatowy. Woźny tegoż sejmiku, b. hallerczyk. Przyjeżdża raz Haller, ktoś daje obiad dla niego, proszą hallerczyków, wiec i woźnego. Przychodzi, je, pije, wraca. Posiedzenie sejmiku, proponują przyjąć protokół z ub. posiedzenia bez czytania. Jedna pani młoda, członkini sejmiku, chociaż nie w liberji, bo znana działaczka kresowa, domaga się odczytania protokółu. Okazuje się, że w nim „uchwała“ o wyrzuceniu woźnego ze służby uchwała, której wcale nie było. Protest. Na to p. starosta pyta, kto sobie „przypomina“ tę uchwałę. Okazuje się, że dobrą taką pamięć mają wszyscy z wyjątkiem tej pani. Niewiasta zżyma się niedwuznacznie na tą pamięć sanatorska. Na to jeden z pamiętających oburza się z całego serca jak ktoś śmie w wątpliwość podawać uczciwość cnego senatu powiatowego. Tego energicznej działaczce kresowej już zadużo, huknęła pięścią w stół jak huzar. Pan starosta, jako dżentelmen wobec dam postanowił wobec tego uchwałę wykreślić, ale zato młoda pani, pogoda czy niepogoda, zawieja czy ulewa, musi pędzić parę mil na każde posiedzenie, bo wie, że jak jej nie będzie, to człowieka, który jadł obiad z Hallerem, wyleją z żoną i dziećmi, jak amen w pacierzu. Autentyczne!

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich, Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM